

Przewodnik Katolicki

Ilustrowany tygodnik dla rodzin katolickich - Redaktor założyciel X. Józef Kłos, redaktor nacz. X. Fr. Forecki



PAPIEŻ PIUS XI NA PRZECHADZCE W OGRODACH WATYKAŃSKICH
(W trzynastą rocznicę obioru i koronacji)

Dla katolików tylko katolickie śluby

Chrześcijański projekt prawa małżeńskiego w Polsce

Nie ulega żadnej wątpliwości, że prawo małżeńskie można jako ustawę państwową w takie ująć ramy, ażeby zasady Kościoła i interes Państwa były ze sobą zgodne. Dowodem najlepszym, że to możliwe, jest ustawa małżeńska włoskiego państwa faszystowskiego z dnia 27 maja 1929 r. To też z uznaniem powitać należy projekt nowego prawa małżeńskiego profesora uniwersytetu poznańskiego, Dr. Zygmunta Lisowskiego, który wydał pracę p. t.: Prawo małżeńskie — Projekt ustawy (skład główny w Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu), uzgadniając w niej w rozumny sposób interes Państwa z wymaganiami Kościoła.

W projekcie tym małżeństwo zachowuje swój charakter religijny. Kościołowi zapewnia się te prawa, które konsekwentnie wypływają z tak pojmowanego małżeństwa; prawodawstwu zaś państwowemu pozostawia się te wszystkie sprawy, które mają znaczenie dla życia prawnopństwowego.

Autor proponuje, by katolicy zawierali jedynie ślub kościelny, a pozatem nie potrzebowali zawierać t. zw. ślubu cywilnego, jak to nakazywało w b. zaborze pruskim prawo niemieckie. Taki punkt widzenia jest zupełnie słuszny, ponieważ ludność katolicka wynosi liczebnie 74,9 procent ludności całego Państwa i Konstytucja w art. 114 nadaje Kościołowi swobodę rządzenia się własnymi prawami. Projekt proponuje również, ażeby dla katolików miało

zastosowanie prawo kościelne, jeśli chodzi o sprawę zdolności zawierania małżeństwa, o przeszkody małż., zapowiedzi i osądzenie ważności związku małżeńskiego. Prawo państwowe zaś ma regulować zaręczyny, t. zn. cywilne skutki małżeństwa, separacje małżeństw i skutki separacji małżeńskiej.

Autor zwrócił specjalnie uwagę na niewłaściwości zdarzające się obecnie dość często w Polsce, a polegające głównie na tem, że, aby uzyskać rozwiązanie niewygodnego małżeństwa, przechodzi się z katolicyzmu na inne wyznanie i przed sądami tego wyznania przeprowadza się rozwód. Ażeby tak niemoralnemu postępowaniu postawić tamę, stawia autor zasadę, że jeżeli katolik zawarł małżeństwo z katoliczką (lub nawet z osobą odmiennego wyznania lub bezwyznaniową), małżeństwo to nie może być rozwiedzione przez wyrok czy to odnośnego sądu wyznaniowego, czy nawet państwowego; ocena ważności tego związku małżeńskiego może być jedynie dokonana w sądzie duchownym Kościoła katolickiego, choćby małżonkowie zmienili wyznanie po swym ślubie.

Słusznie stoi autor na stanowisku, że rodzina jest komórką życia społecznego, której nie można bez szkody dla jednostki jak i społeczeństwa burzyć przez przyznawanie prawa do rozwodu. Kto wstępuje w związki małżeńskie, niechaj dobrze się namyśli i dobrze pozna swego przyszłego małżonka,

jego charakter i skłonności, a lekkomyślnie małżeństwa niechaj nie zawiera.

Dlatego też i dla wyznań niekatolickich i małżeństw tylko cywilnie zawieranych projekt dopuszcza rozwód wtedy tylko, gdy małżonkowie nie mają wspólnych małoletnich dzieci; małżonkom zaś rozwiedzionym zezwala zawrzeć nowe małżeństwo dopiero po upływie dwóch lat od uprawomocnienia się wyroku rozwodowego.

Dla małżeństw akatolickich, t. j. jeśli oboje małżonkowie nie są katolikami i zawarli małżeństwo czy to w religijnej formie akatolickiej (t. j. niekatolickiej), czy to cywilnej, projekt dopuszcza rozwód, jeśli przepisy odnośnego wyznania dopuszczają w danym wypadku rozwód, a normy prawa małżeńskiego odnośnego wyznania zostały przez Państwo ustawodawczo uznane; w wypadku zaś, gdy zawierano tylko ślub cywilny, rozwód będzie możliwy, jeśli istnieją powody dla udzielenia rozwodu i to na podstawie cywilnej ustawy małżeńskiej.

Kto należy do wyznania akatolickiego, którego prawo małżeńskie Państwo uznało za obowiązujące, winien ślub zawierać według zasad tegoż prawa wyznaniowego. Kto zaś należy do wyznania, którego przepisów dotyczących małżeństwa Państwo nie uznało, lub kto nie poczuwa się do przynależenia do żadnego w Polsce uznanego wyznania, ten wedle nowego projektu ma podlegać prawu małżeńskiemu, uregulowanemu na takie wypadki przez Państwo (prawo cywilne); będzie więc zawierał ślub cywilny.

Widać z tego, że założenie, z którego autor wychodzi, jest wyznaniowe prawo małżeńskie opierające się na najgłębszych przekonaniach katolickiego społeczeństwa polskiego. K.

Ewangelja na niedzielę Starozapustną

zapisana u św. Mateusza rozdz. 20, w. 1—16.

Won czas mówił Jezus uczniom swoim tę przypowieść: Z królestwem niebieskim rzecz ma się podobnie, jak z pewnym gospodarzem, który wczesnym rankiem wyszedł nająć robotników do winnicy swej. Zgodziwszy zaś robotników po denarze na dzień, posłał ich do winnicy swojej. A gdy wyszedł około godziny trzeciej, ujrzał innych, którzy stali na rynku bezczynnie. Im także powiedział: Idźcie i wy do winnicy mojej, a co będzie słuszna, dam wam. A oni poszli. — I znów wyszedł około szóstej i dziewiątej godziny, i podobnie postąpił. A gdy około godziny jedenastej wyszedł, i znalazł innych stojących, rzekł do nich: Dlaczego tu stojicie dzień cały bezczynnie? Powiadają mu: Nikt nas nie najął. Mówi do nich: Idźcie i wy do winnicy mojej. — Gdy zaś wieczór zapadł, rzekł pan winnicy do swego rządcy: Zwolaj robotników, i oddaj im zapłatę, zachynając od ostatnich aż do pierwszych. Przystąpili zatem ci, którzy przybyli o godzinie jedenastej, i otrzymali po denarze. A gdy nadeszli i pierwsi, sądzili, że więcej dostaną; ale i oni otrzymali po denarze. Odebrawszy zaś, szemrali przeciw gospodarzowi, mówiąc: Ci ostatni jedną godzinę pracowali, a zrównałeś ich z nami, którzyśmy zносили ciężar dnia i spiekotę. Ale on odezwał się do jednego z nich i rzekł:

Przyjacielu, krzywdy ci nie wyrządzam; — czyż nie zgodziłeś się ze mną za denara? Zabierz, co twoje, a idź; chcę też i temu ostatniemu dać, jako i tobie. Alboż nie wolno mi uczynić tego, co chcę? Czyż krzywo patrzysz, żem ja dobry? Tak to ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatni; albowiem wielu jest wezwanych, ale mało wybranych.

NAUKA.

Winnicą jest dusza nasza. Abyśmy bezustannie tę winnicę uprawiali czyli przez dobre uczynki o zbawienie duszy zabiegali, do tego zachęca nas Bóg natchnieniami swemi. W rozmaity sposób — powiada św. Grzegorz — nawołuje nas Bóg do tej pracy: to pomyślnością, to niepowodzeniem, to przez Aniołów Stróżów, to przez kapłanów... Niestety, minęły może długie lata a nawoływania tego nie usłuchaliśmy! Czy teraz już za późno?

Dzisiejsza ewangelja niech nas pocieszy i pouczy, że choćby już ostatnia zbliżała się godzina życia naszego, do nawrócenia nie jest za późno! Naśladujmy tylko onych robotników, którzy powołani w ostatniej godzinie, nie wymawiali się mówiąc: Na dzisiaj rozpoczynać pracę nie warto! Już i tak nie zarobiliśmy sobie wyznaczonej zapłaty dziennej. Dzień dzisiejszy jest dla nas stracony!

Przeciwnie, zaufali dobroci i hojności pana winnicy. Natychmiast zabrali się do pracy. Podwoili swoją gorliwość. Gdy nadszedł wieczór, odebrali pełną zapłatę, taką samą, jaką odebrali ci, co cały dzień pracowali.

Pan Jezus chce nas pouczyć, że Pan Bóg co do zapłaty, jakiej swym sługom udziela, nie zważa na to, jak długo kto pracował, lecz na to, jaką pilność w służbie okazał. Niech więc otuchy nabiorą małoduszni, którzy długie lata stali próżnujący, a teraz na schyłku życia jeszcze nie zabierają się do pracy nad zbawieniem duszy swej, sądząc, że w tych krótkich chwilach nie można naprawić tego, co się zawiniło przez długie lata próżnowania. Szatan szepce im do ucha podobnie jak Judaszowi, że niema już dla nich przebaczenia. Nie należy go słuchać. Raczej wierzyć Panu Jezusowi, który w dzisiejszej ewangelji zapewnia:

Choćbyście w ostatniej godzinie życia zabrali się do pokuty, możecie duszę swą ocalić, uniknąć piekła, denara zapłaty niebieskiej sobie zdobyć! Idźcie tylko do winnicy mojej! Choć nie więcej, to przecież iskierkę żalu i ufności w miłosierdzie Boże możecie zawsze jeszcze wykrzesać z serca swego, choćby ono było twarde jak krzemień. A to wystarczy, abyście wzięli zapłatę niebieską! Amen. X. Bog.

„Zakonnice do niczego — Zakonnice darmozjadami“

Samarytanka

Do liczby Zgromadzeń zakonnych które najdoskonalej pojęły przykazanie Chrystusowe o miłości i miłosierdziu i najściślej starają się urzeczywistnić je w życiu, należą S. S. Samarytanka Krzyża Chrystusowego.

Powstanie tego Zgromadzenia cechuje niezwykle szybki rozwój. Założone w roku 1926 przez Wielebną Matkę Wincentę Jaroszewską, dziś po ośmiu latach istnienia, Zgromadzenie S. S. Samarytanek posiada 6 placówek i liczy 140 Sióstr. Te cyfry świadczą wymownie, jak szczególne błogosławieństwo Boże towarzyszyło powstaniu tego Zgromadzenia.

Zgromadzenie to podjęło najszczytniejsze dzieła miłosierdzia chrześcijańskiego, podjęło się pracy najbardziej przytęmioną i odrażającą.

Opieka nad dziećmi niedorozwiniętymi umysłowo i nad kalekami, domy dla dziewcząt moralnie zaniedbanych, szpitale dla ofiar rozkładającego życia, które do chwili powstania Zgromadzenia znajdowały się pod wyłączną opieką świeckich pielęgniarzek, wreszcie kryminaliści i przestępcy, gdyż S. S. Samarytanka uzyskały ostatnio od Stolicy św. pozwolenie na zaopiekowanie się więźniami — wszystkie te dzieła należą do tego Zgromadzenia. Zgromadzenie to, nawskroś nowoczesne, jest najbardziej zgodne z duchem swego czasu i najbardziej odpowiada wymaganiom i potrzebom chwili.

W Samarji jako w domu macierzystym mieści się nowicjat, jest to także miejsce zamieszkania Matki

Generalnej Zgromadzenia. Życzeniem Matki Generalnej jest otworzyć także w którejs z słonecznych, podwarszawskich miejscowości zakład dla t. zw. „wilkowatych“. Wilk, czyli t. zw. liszaj żrący, jest gruźlicą skóry. Jest to choroba długotrwała, bardzo trudna do wyleczenia i ogromnie udzielająca się, o wiele więcej, niż gruźlica płuc.

S. S. Samarytanka są Zgromadzeniem kontemplacyjno-czynnym (t. zn. poświęconem rozmyślaniom i dziełom chrześcijańskim). Regułę mają św. Benedykta, dlatego też cała nazwa brzmi: Benedyktynki Samarytanka Krzyża Chrystusowego. Postulat w łtem Zgromadzeniu trwa pół roku, nowicjat — 2 lata...

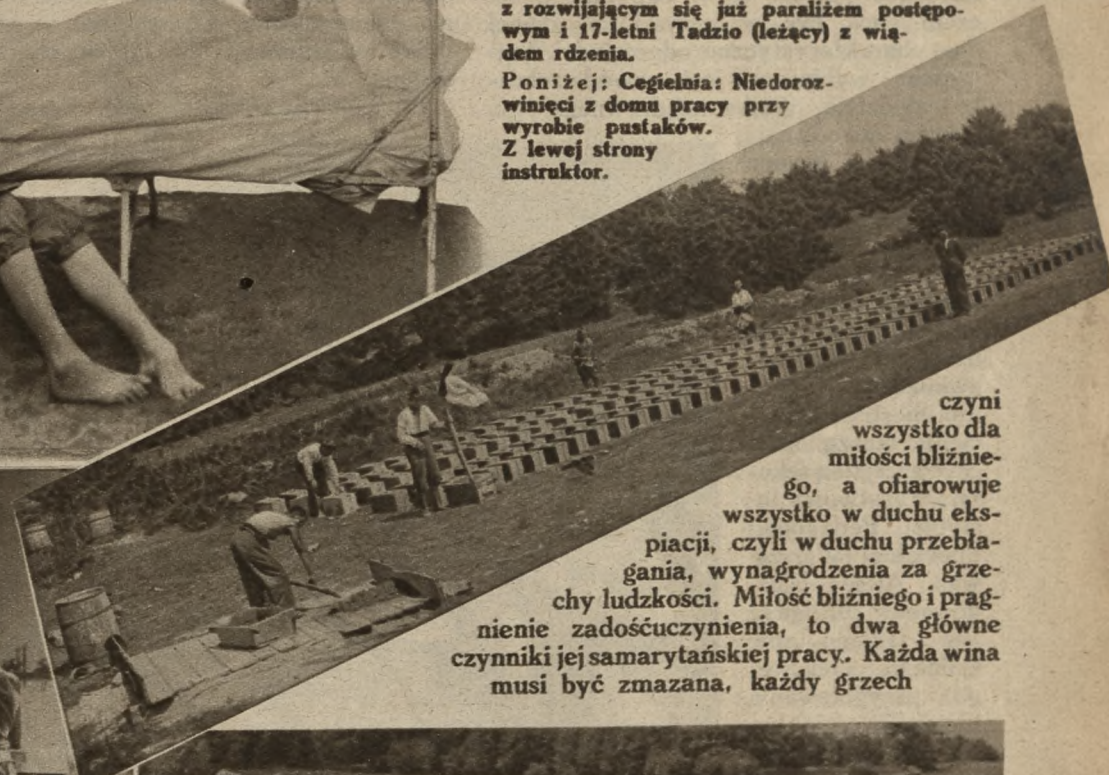
S. S. Samarytanka są w rodzinie zgromadzeń benedyktyńskich zupełnie czemś nowym. Nie mają one w regule swej tych ostrości, w jakie obfituje reguła dawnych benedyktyńskich zgromadzeń klauzurowych, ale praca ich, uciążliwa i przykra, jest pełna umartwień. Samarytanka



Samarja. Szpitalik. 11-letni Karolek z gruźlicą kości.

Obok na lewo: Typy dzieci obciążonych dziedzicznie ze szpitaliska w Samarji. 20-letni Staś z rozwijającym się już paralizem postępowym i 17-letni Tadzio (leżący) z wianem rdzenia.

Poniżej: Cegielnia; Niedorozwinięci z domu pracy przy wyrobie pustaków. Z lewej strony instruktor.



czyni wszystko dla miłości bliźniego, a ofiarowuje wszystko w duchu ekspiacji, czyli w duchu przebiegania, wynagrodzenia za grzechy ludzkości. Miłość bliźniego i pragnienie zadośćuczynienia, to dwa główne czynniki jej samarytańskiej pracy. Każda wina musi być zmasana, każdy grzech



Samarja. Stolarnia w domu pracy.



Samarja (Niegów pod Warszawą). Niedorozwinięci przy kopaniu stawów. Z prawej strony instruktor.

odpokutowany. Sprawiedliwości wiecznej musi stać się zadość. Cel ten można wprawdzie osiągnąć w życiu, pełnym pokutnych ostrości, ale miłość bliźniego inny może podyktować środek. Siostry Samarytanki współpracują w dziele Odkupienia przez uczynki miłosierdzia i posługi, oddawane tym najbardziej nieużytecznym, często wyrzuconym jakby poza nawias życia.

Dzieci niepodobne do dzieci

Czemuś najbardziej wzruszającym i smutnym w zakładach S. S. Samarytanek są **dzieci**. Dzieci niedorozwinięte umysłowo. Są to prawie zawsze niewinne ofiary dziedziczności, dzieci alkoholików, kryminalistów, narkomanów (używających środków odurzających, czyli narkotyków), dzieci często niewiadomego pochodzenia, biedne podrzutki, zabrane z ulicy, o najgorszych instynktach, które przynoszą ze sobą na świat już we krwi, a które się w nich odzywają zaraz po wyjściu z wieku niemowlęcego. Są tu dzieci chore nerwowo na padaczkę, są t. zw. „kleptomani“, którzy kradną wszystko, co ukraść można. Są w zakładach naszych dzieci obciążone dziedzicznie chorobami, które powstają skutkiem niemoralnego życia (choroby weneryczne), **dzieci często niepodobne do dzieci**. Można tam widzieć śpiczaste czaszki i wielkie, sterczące zajęcze uszy. Zapytane o to, czym chcą być w przyszłości, dzieci dają charakterystyczne odpowiedzi. Najczęściej wybierany jest zawód żebraka, złodzieja, grajka wędrownego itp., słowem za wady najłatwiejsze. A więc i tu dziedziczność występuje w całej pełni.

System nauczania tych dzieci jest zupełnie inny, niż dzieci zdrowych, rozwiniętych normalnie. Siostry nauczycielki muszą konczyć specjalną szkołę. Państwowy Instytut Pedagogiki Specjalnej (Warszawa, Aleje Ujazdowskie 20), gdyż bez takiego specjalnego, fachowego przygotowania niemożliwością byłoby osiągnąć jakieś wyniki w nauczaniu i Siostry poprostu nie dałyby rady.

Takie szkoły dla niedorozwiniętych Siostry mają w Pruszkowie. Jest tam w dwóch domach 97 chłopców i 80 dziewcząt.

W takim domu dla najbardziej upośledzonych w Samarji jest około 50 wychowanków, którzy nie umieją jeść, nie potrafią ubrać się, zanieczyszczają się, a pracę mogą wykonywać w najlepszym razie tylko mechaniczną, jeden i ten

sam ruch bez żadnych zmian. Mogą oni tylko drzeć pierze, lub pleść maty, gdyż prace te, najmniej skomplikowane, polegają na prawie bezwiednym wykonywaniu jednego tylko ruchu, ale i do tej pracy potrzeba im wszystko przygotować i ułożyć, gdyż sami tego zrobić nie potrafią. Wychowankowie ci, najbardziej upośledzeni, po większej części nic nie mówią i prawie nic nie rozumieją. Dzieci bardziej jeszcze chore, wysła się do szpitalika.



Henryków. Praca w polu.

Szpitalik smutny przedstawia widok. Niektóre z dzieci nie wstają prawie nigdy. Są takie, które na całe życie przykute są do łóżka, jak w wypadkach paraliżu postępowego albo wiađu rdzenia pacierzowego. Obecnie jest w szpitaliku w Samarji 23 takich chorych dzieci.

W Samarji wszystko jest niezwykle

Chłopcy mają tam warsztat szewski, warsztat stolarski, cegielnię, betonowe roboty, ogrodnictwo, w przyszłości także — pszczelnictwo. Panuje tam dziwna samowystarczalność. Niedorozwinięci piorą, gotują, pracują w ogrodzie, stawiają domy i zabudowania gospodarcze z cegły, wykonanej we własnej cegielni, ale wykonują to wszystko pod kierunkiem Sióstr i fachowych instruktorów. Niedorozwinięty żadnej pracy nie potrafi wykonać samodzielnie, to też na chwilę nie można spuścić go z oka. Dom pracy w Samarji jest pod wezwaniem Szymona Cyrenejczyka, bo jak Szymon Cyrenejczyk, dźwigając ciężki krzyż Zbawiciela choć nieświadomie współdziałał w dziele Odkupienia, tak Siostry współpracując z temi dziećmi, niewinnymi ofiarami dziedziczności, chciałyby ponieść zupełnie ekspiację za winy cudze.

Ogółem więc Siostry mają w swych zakładach: około 500 chorych w szpitalu św. Łazarza, przeszło 60 dziewcząt moralnie zaniedbanych w Henrykowie, 80 dziewcząt niedorozwiniętych w Pruszkowie i przeszło 200 niedorozwiniętych chłopców w różnych zakładach, jak w zakładzie w Pruszkowie, w szpitaliku, w obserwacji, w domu dla najbardziej upośledzonych i w domu pracy w Samarji. Niestety opieka społeczna ponosi koszty utrzymania niedorozwiniętych tylko do lat 18, a więc przeszło 60 wychowanków Siostry utrzymują własnym kosztem.

Praca Samarytanki jest mozolna i często niewdzięczna. O ileż łatwiej i miłej jest pracować nad zdrowem i normalnie rozwiniętym dzieckiem, niż nad dzieckiem niedorozwiniętym umysłowo, nad człowiekiem zdrowym moralnie, niż nad jakimś uśpionym sumieniem. Ale miłość prawdziwa nigdy nie myśli o sobie. Samarytanka rozumie, że prawdziwa miłość nie polega na ucieczce od wszystkiego, co brzydkie i na ukochaniu tylko tego, co jest piękne i miłe w człowieku. Bo niedość jest kochać w bliźnim jego zalety wewnętrzne lub zewnętrzne, trzeba ukochać w każdym to biedne człowie-



U źródła, z którego czerpiemy siły do ciężkiej pracy.

i trudno cokolwiek pomijać milczeniem. Dla wychowanków starszych, w wieku pozaszkolnym, Siostry stworzyły specjalny „dom pracy“. Więc niedorozwinięci, po osiągnięciu wieku dojrzałego, by nie stać się ciężarem dla społeczeństwa, pozostają nadal pod opieką Sióstr. W domu pracy jest obecnie 40 chłopców od lat 16 wzwyż. Najstarszy z wychowanków liczy już obecnie lat 28.

czeństwo jego, słabe, udęczone, niedoskonałe, a może brzydkie i ułomne. Trzeba zawsze przebaczać i zawsze wszystko darować, zawsze litować się tylko, ale nigdy — gardzić, a przebacząc i darując, zawsze podnosić duszę bliźniego choćby się nawet stoczyła najniżej i prowadzić królewską drogą miłości i miłosierdzia coraz wyżej, aż do źródła tej miłości i mi-

łosierdzia, aż do źródła wszelkiej istności. A wtedy miłość będzie w całej swej pełni i prawdzie.

Praca Samarytanki jest mozolna i często niewdzięczna. Ale czegoż nie zdziałałaska Boża i cóż jest dla niej niepodobne? Pomimo wszystkich trudności Siostry wywierają jednak wielki wpływ na swoich wychowanków i na swoich chorych. Jaka jest tajemnica

tego wpływu? To tajemnica wielkiej miłości Boga i bliźniego.

Oto źródło ich powodzenia i tego wpływu, jaki wywierają na swe otoczenie!
Zofja Gawlikowska.

UWAGA I. S.S. Samarytanki posiadają już 2 domy dla dzieci niedorozwiniętych w Pruszkowie pod Warszawą (jeden dla chłopców, drugi dla dziewcząt), szpitalik dla okaleczonych, dom dla najbardziej upośledzonych oraz pierwsze warsztaty pracy dla niedorozwiniętych w Niegowie pod Warszawą, gdzie posiadłość Sióstr nosi nazwę „Samarji”, zakład dla dziewcząt moralnie zaniedbanych w Henrykowie pod Warszawą, wreszcie szpital pod wezwaniem św. Łazarza

wno w Warszawie (ul. Kaszubska 2) dla chorób skórnych, wenerycznych. Kancelaria centralna Sióstr znajduje się w Warszawie przy ul. Burskiej 16.

UWAGA II. Zaznaczyć trzeba, że S.S. Samarytanki Krzyża Złotego, zamieszkałe w Warszawie na Targówku, to zupełnie co innego i ze Zgromadzeniem Samarytanek Krzyża Chrystusowego, założonem przez Wiel. Matkę Wincentę Jaroszewską, nie mają nic wspólnego, prócz podobnej nazwy.

DZIEWIĘĆ NIEDZIEL

(Krótka wędrówka po roku kościelnym)

Rok boży, rok kościelny to droga prowadząca do zbawienia. Dla katolika niema bowiem innej drogi do zbawienia jak tylko przez Kościół św. Kto szczerze do Chrystusa zdąży, ten musi iść drogą, którą wskazuje Kościół św. A Kościół nie poprowadzi go inną drogą, jak tylko tą, która zahacza o wszystkie niedziele i święta i która zmusza katolika do uczestniczenia w liturgji św. i do korzystania z łask, które Rok Boży niesie. Czyli innymi słowy: Przestrzeganie praktyk kościelnych, przywiązanych do pewnych dni i niedziel roku — to jedyna i najpewniejsza droga ku zbawieniu.

Stąd też w okolicach o wielkiem uświadczeniu religijnem ludzie niełatwo przepuszczają niedzielę. A przyszedłszy do kościoła nie pozostaną poza murami świątyni. Owszem cisną się do środka, by mogła między nimi a bożem Misterjum, odbywajacem się na ołtarzu, powstać owa cudowna łączność, która jest konieczna dla uzyskania łaski zbawienia. Dlatego też otwierają swe mszały i wspólnie z kapłanem wczytują się i wgłębiają w tekst mszy, która właśnie na tę niedzielę przypada. To jest najprzedniejszy sposób poddania się kierownictwu Kościoła.

Lecz wszystkie te pobożne praktyki odniosą tylko wienczas skutek pożądany, jeżeli każdej niedzieli równocześnie głęboko do samego dna duszy wgryzać się będzie świadomość, że jesteśmy ludźmi słabymi, grzesznymi, upadłymi, którzy do swego zbawienia potrzebują koniecznie tego wielkiego dobrodziejstwa, jakie nam JEZUS wyświadczył przez to, że stał się człowiekiem i cierpiąc umarł na krzyżu dla naszego zbawienia. Byłby to już bardzo pożałowania godny katolik, któryby tej świadomości nie miał i któryby z głębi przekonania swego nie pisał się na ową pieśń niedzielną, która tak dobitnie właśnie tę podstawową prawdę naszej wiary zawiera:

„Racz na nas wójrzeć z nieba wysokiego,
I racz pocieszyć człowieka grzesznego,
Któregoś. Panie, zbytnio umiłował
I Krwi Najświętszej przelać nie żałował”.

Więc grzeszność człowieka i wielkie zmiłowanie Boże, nie oszczędzające Najświętszej Krwi



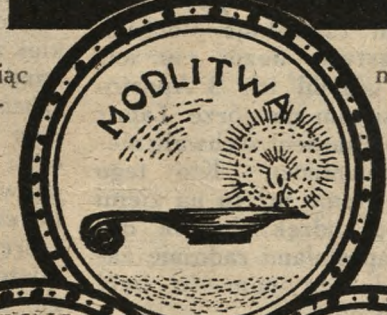
STAROZAPUSTNA
SIEDEMNDZIESIĄTNICA

MIĘSOPESTNA
SEXAGESIMA

ZAPUSTNA
QUINQUAGESIMA



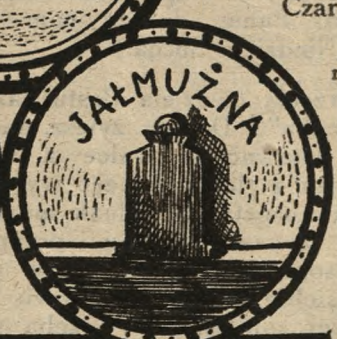
POPIELEC



MODLITWA



POST



JAŁMUŻNA

WIELKI POST

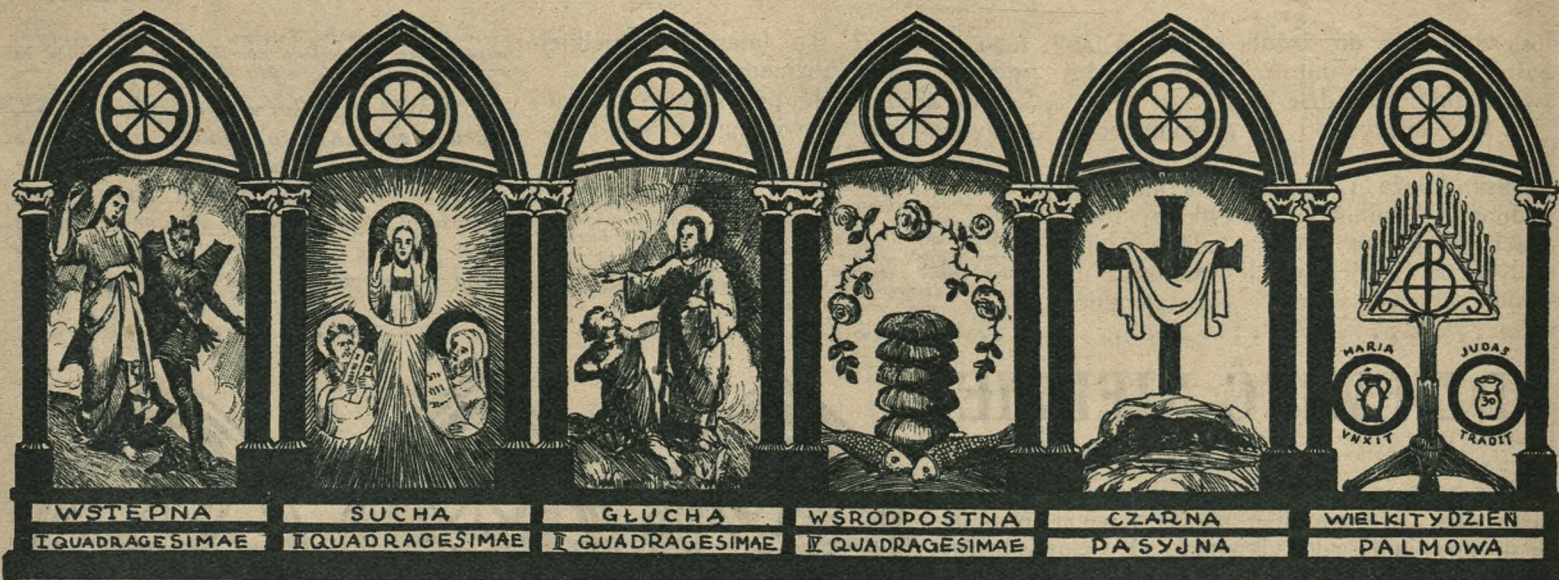
dla naszego odkupienia, są temi prawdami, które nam Kościół w najrozmaitszy sposób przypomina w ciągu całego roku bożego. Tym prawdom poświęca Kościół dwie największe uroczystości roku: Boże Narodzenie (Przyjęcie człowieczeństwa) i Wielkanoc (Męka i Odkupienie).

Jeżeli innej drogi niema do zbawienia, jak tylko przez uczestniczenie w liturgji św., to nietrudno będzie nam pojąć, że Kościół przed temi dwiema największemi uroczystościami wsunął dwa okresy przygotowawcze, by broń Boże święta te nie minęły niepostrzeżenie. Temi okresami są Adwent i Wielki Post. Adwent jest pełen tęsknej radości, wzmagającej się w miarę zbliżającego się święta. Post to czas wielkiego pokutnego smutku, urastającego pod koniec w ostatnich 2 tygodniach do rozmiarów czarnej, potężnej żałoby. Adwent obejmuje tylko 4 niedziele; Wielki Post, ponieważ przyspasabia nas na największą uroczystość roku, pamiątkę największego dobrodziejstwa ze strony Boga (Jego męka bolesna i śmierć), obejmuje niemal całe 9 tygodni. Dzieli się na 3 części. Pierwsza część, rozpoczynająca się od dzisiejszej niedzieli, to 3 tygodnie tak zwanego „Przedpościa” (niedziela Siedemdziesiątnica, czyli Starozapustna, Szesćdziesiątnica — Mięsopestna i Pięćdziesiątnica, czyli Zapustna). Potem następuje druga część: 4 niedziele Wielkiego Postu: Wstępna, Sucha, Głucha i Środopostna albo Śródpostna. Wreszcie 2 końcowe niedziele pasyjne: Czarna i Palmowa. Razem 9 tygodni, czyli 63 dni.

Nazwa „Siedemdziesiątnica” nie odpowiada dokładnie rzeczywistości! Ponieważ jednak niedziela Wstępna, przypadająca na 42 dzień, nazywa się w łacińskim języku Quadragesima czyli czterdziesta, więc dla uproszczenia nazwano 3 poprzedzające niedziele liczbą zaokrągloną: 50-nicą, 60-nicą i 70-nicą.

Skąd się jednak wogóle wzięła liczba 70 w kalendarzu kościelnym? Kościół ustanawiając 40 dni postu, wyłączał pierwotnie z postu soboty, niedziele, czwartki, a nawet wtorki. Stąd, aby 40 dni dopełnić, zaczynało się post od dziewiętej niedzieli, czyli mniejwięcej na dni siedemdziesiąt.

Ta niedziela „siedemdziesiątnica” nazywa się także starozapustną, bo w starych dawnych czasach z nią kończyły się zapusty. Była więc tem, czem dla ludzi dzisiejszych jest pięćdziesiątnica, czyli „zapustna”.



Cały ten okres powinien być poświęcony najprzedniejszym uczynom jakimi są: modlitwa (wieczna lampka), post (ryba) i jałmużna (skarbona). Obowiązek poszczenia szczególniejsze u nas Polaków miał poważanie. Kiedy w XVI-tym wieku Erazm Ciołek, biskup płocki, przywiózł z Rzymu papieskie pozwolenie, że wolno we środę mięso jadać, nie znalazł się wtedy nikt w całym Królestwie Polskiem, któryby chciał z pozwolenia tego korzystać. Zmieniła się postać rzeczy za panowania Zygmunta Augusta. Na stypie, którą on ojcu swemu (Zygmuntowi I w r. 1548) we środę postną na krakowskim wyprawiał zamku, po raz pierwszy pokazało się mięso na królewskim stole, spowodu, że przy nim siedzieli Niemcy, postów nie zachowujący, których uraczyć trzeba było. To było hasłem do obchodzenia postów tak dalece, że już niektórzy nawet w palmową niedzielę mięso jedli, udając, że niby cieszą się z tego, iż w następnym tygodniu Pan Jezus zmartwychwstanie.

Zobrazowaliśmy w tym numerze Przewodnika 9 niedziel, ażeby na tym bardzo krótkim odcinku roku unaocznic ową wielką celowość, z jaką Kościół św. zabiera się w każdą niedzielę do pracy nad zbawieniem naszej duszy!

Oto pierwsza niedziela siedemdziesiątnica czyli starozapustna. Ewangelja mówi nam o gospodarzu najmującym robotników do winnicy Pańskiej. Ewangelja przypomina nam, że i nas Bóg woła do winnicy. Właściwie, to już w niej jesteśmy. Ale przyszliśmy dopiero o 11 czyli godzinie ostatniej, wówczas, gdy inni dla sprawy Bożej już namordowali się, niosąc „ciężar dnia i upału”. Niewiele czeka nas zatem pracy. A jednak za tę jedną „godzinę” przepracowaną spotka nas ta sama nagroda, którą osiągnęli i apostołowie i męczennicy, misjonarze i inni wielcy pracownicy boży. Kościół więc dziś do ciebie woła: Człowieku zbaw swoją duszę! Patrz, jak Pan Bóg ci ułatwia to zbawienie! To jest pierwsze wezwanie Przedpościa.

Druga niedziela Przedpościa t. zw. Mięsopestna powtarza to wezwanie:

Człowieku zbaw swoją duszę. Boski siewca — słyszymy to w ewangelji — wychodzi ze siewem na rolę. Jest przecież wiosna, czas uprawy. Uważajmy, by jego ziarno rzucane na rolę naszej duszy nie padło ani podle drogi, ani na opokę, ani nie natrafiło na ciernie, ale żeby przyniosło owoc stokrotny!

W trzecią niedzielę (zapustną) przypomina nam Kościół naszą ślepotę! Oczy nasze zamknięte. Bawimy się i używamy karnawału. A POST nadchodzi i zbliża się Jezus. Ale jak ów ślepiec w dzisiejszej ewangelji tak i my dopiero od innych dowiedzieć musimy się, że Jezus mimo przechoździ. I jak ślepeca tak i nas zapyta Jezus, co ma dla nas uczynić? Obyśmy wtenczas zawołali z owym ślepym na drodze do Jerycha: Panie spraw, abyśmy przejrżeli, abyśmy uzdrowieni zostali przez wiarę. Abyśmy zrozumieli, że z prochu powstałiśmy i w proch się obrócimy. Jesteśmy już przy 4 obrazku przedstawiającym Popielec.

Kończy się Przedpoście, a nadchodzi pierwsza niedziela właściwego Postu. Kościół w pierwszą niedzielę przypomina nam istnienie złego ducha i wzywa nas zupełnie wyraźnie do walki z tym wrogiem. Walka będzie trudna. Kto jednak wytrwa, ten już tu na ziemi zasmakuje słodkich owoców zwycięstwa. Jezus mu ich udzieli, tak jak udzielił ich 3 Apostołom, ukazując się im na górze Tabor z Mojżeszem i Eljaszem w chwale niebieskiego Przemienienia. Kto tego szczęścia dozna, temu już tu na ziemi mimo wszelakiej udręki będzie dobrze, tak, że z apostołami radośnie zawoła: Panie, dobrze nam tu być! (II Niedziela Sucha.)

Trzecia niedziela Postu nazywa się „Głucha”. Dopóki żyjesz, nie wolno ci ustawać w walce z szatanem. Wszak z głuchoniemego wyrzucił Pan Jezus czarta. A jednak mówi P. Jezus, że czart powróci i przyprowadzi ze sobą 7 innych duchów gorszych od siebie i spróbują znowu w duszy naszej zamieszkać! Trzeba się mieć na bacności, by „późniejsze rzeczy nie stały się gorsze aniżeli pierwsze”.

To nauka, jaką nam Kościół daje w 3 niedz. W. Postu.

Czwarta niedziela „Śródpostna” mówi o cudownym rozmnożeniu chleba. Znowu jak w II niedzielę Postu Ewangelja nagradzająca, ale tylko tych, którzy mężnie walczą z szatanem i światem, trwając przy Jezusie... Z tą Ewangelją łączy się zarazem delikatne przypomnienie komunji wielkanocnej. „Kto pożywa ciała mego, a pije krew moją, ma żywot wieczny. I ja go wskrzeszę w dzień ostateczny!” Z tą Ewangelją łączy się surowa przestroga, byśmy na Komunię św. wielkanocną nie patrzeli, jak na przykry ciężar. Ma ona być prawdziwym podarunkiem, który nam Jezus daje jako zadatek przyszłego zbawienia. Nie gardźmy zatem tym darem, by nas nie spotkał los starostamentowych żydów, którzy jedząc mannę nie umieli jej ocenić i dlatego marnie pomarli na pustyni, nie wchodząc do ziemi obiecanej. Manna, którą Chrystus na Wielkanoc nam daje, kosztowała przecież tyle bólu i tyle trudu — Jezus tyle musiał naciepieć i tyle Krwi Najświętszej przelać, by móc ustanowić Najśw. Sakrament... Ale o owem straszonym cierpieniu i owym najświętszym darze miłości będzie jeszcze czas rozpamiętywać w najbliższych dwóch tygodniach. Już bowiem przed drzwiami niedziela wielkiej żaloby, czyli Czarna. Żydzi porwą kamienie, aby na Jezusa nimi rzucać. Lecz Jezus się „zatai”, wyjdzie z „kościola”, usunie się z przed oczu tych, którzy go prześladowują. Będą widzieli w nim nie Boga, lecz tylko człowieka, i to prześladowanego i dręczonego w hańbiącym poniżeniu. Dlatego owa czarna zasłona na krzyżu. Dlatego i grób już gotowy. Dlatego gasną świece na świeczniku jedna po drugiej (obrazek szósty — 6. tydzień), bo Apostołowie w tym tygodniu jeden po drugim opuszczają poczną Jezusa.

Na tym ostatnim obrazku umieściliśmy 2 medaljony. Na jednym wazon z wonną maścią, którą Marja (Magdalena) pomazała nogi w domu faryzeusza. Na drugim woreczek pieńiężny z groszami Judaszowemi! Marja unxit! Judas tradidit! Marja na-

JAKÓB-SŁEPIEC

Od tygodnia bawiliśmy na wsi. Był czerwiec; przez szeroko rozwarte okna salonu napływała z ogrodu cudna i odurzająca woń kwiatów. Gounod¹⁾ dopiero co odszedł od fortepianu, a po uczcie muzycznej nastąpiła, jak zwykle, jedna z tych serdecznych gawęd o sztuce, w czasie których słowa w uszach naszego drogiego przyjaciela nabierały uroku i powabu jego melodyj.

Opowiedziałem mu tedy o pewnym wieśniaku ślepym z naszego sąsiedztwa, który kilkakrotnie o wieczornej godzinie, nazywanej przez nas godziną²⁾ Beethovena i Mozarta, przechodząc ścieżką, dzielącą jego chatę od naszego domostwa, siadał w trawie pod płotem naszego ogrodu. Przesiadywał tam kamieniem przez cały czas, dopóki muzykowaliśmy.

— Jak chętnie zagrałbym wyłącznie dla tego biedaka! — zapalił się Gounod.

— Rzeczywiście, mój drogi? To się da łatwo zrobić. Jest teraz druga. Jakób, tak się bowiem nazywa nasz sąsiad, niezadługo będzie wracał od pracy na podwieczorek.

— Jakto od pracy? To on pracuje?

— A jakże, i to nawet w trzech zawodach.

— Aż w trzech zawodach?

— Owszem, i dają mu one pracę przez cały rok prawie. Poślę po niego, a w tym czasie opowiem ci jego dzieje i jak zdobył sobie te trzy rodzaje pracy. Będzie to zarazem historia jednego z najbardziej niezwykłych ludzi, jakich spotkałem na wsi. Bez wykształcenia, a pełen głębokich uczuć, prosty, a otwarty i wymowny odnalazł swoją drogę życia w nieprzebytych ciemnościach, kiedy nagle został w nie wtrącony, odbudował sobie poprostu swoje życie i to przy pomocy swego kalectwa jedynie.

— Zaciekawiasz mnie ogromnie.

— Poczekaj, zacznę me opowiadanie o tym człowieku od początku. Znasz, przypuszczam, małą wioskę Noisemont³⁾ i równinę, która nas od niej dzieli. Ta równina ma także swój swoisty charakter: nieurodzajna, o czerwonej glebie, zasiana kamieniami młyńskimi, które się tam wydobywa i obrabia w kamieniołomach, poszarpana olbrzymimi wyrwami i lejami. Kilka pojedynczych drzew ją ocienia, a nad rzadko rozsianą zielenią poletek uprawnych góruje jednostajna szarzysta ostro oddzielonych i dokładnie wymierzonych, prostokątnych połaci krzemieniowych. Zgrzyt żelaza o skałę, którą się rozbija, przewierca i kruszy, łączy się w uchu z mi-

łemi szmerami i odgłosami szerokich pól, tak że niejako jedną ramą objęte są równocześnie dwie rzeczy: pełne zgrzytów i huku wewnętrzne kuźni i uroczy, rozsloneczniony krajobraz.

Przed trzydziestu laty mniej więcej przebywałem pieszo tę równinę z serdecznym i bardzo mi bliskim przyjacielem, który był sołtysiem naszej wioski, panem Desgranges¹⁾. Nagle powstrzymał nas przeraźliwy huk wybuchu. Spojrzeliśmy w kierunku, skąd pochodził: w oddaleniu czterech do pięciu set kroków unosił się nad ziemią białawy obłoczek dymu, który zdawał się wydobywać z jakiegoś zagłębienia. Następnie wyleciały w powietrze kamienie, a równocześnie rozległy się nie-ludzkie krzyki. Człowiek jakiś wyskoczył z dziury i zaczął biec przed siebie, jak warjat. Machał rękoma, wył, padał, podnosił się, znikał w głębokich wyrwach równiny i ukazywał się znowu naszym oczom. Oddalenie i ciągle zmiany w kierunku jego biegu nie pozwoliły nam go dokładnie rozpoznać. Zdawało mi się jednak, że zamiast twarzy miał szeroką, krwawo-czerwoną maskę. Przerażeni udaliśmy się spiesźnie w jego kierunku, a równocześnie z drugiego krańca równiny, od strony Noisemont, nadbiegali z krzykiem mężczyźni i kobiety.

Byliśmy pierwsi przy nieszczęśliwym; twarzy jego niejako nie było, tworzyła jedną ranę. Czaszka była ciężko

poraniona, a krew spływała ciurkiem na odzież w strzępach. Ledwie zaopiekowaliśmy się nim, kiedy kobieta jakaś, biegnąca na czele około dwudziestu wieśniaków, rzuciła się ku niemu: „Jakóbie! Jakóbie! czy to ty? Nie poznaję cię!... Jakóbie!...“ Nieszczęśliwiec nic nie odpowiedział, lecz zaczął się gwałtownie szamotać w naszych rękach, rozbryzgując przy szamotaniu krew na wszystkie strony. „Ah!“ krzyknęła nagle kobieta głosem rozdzierającym, „to'on!...“ Rozpoznała szeroką sprzączkę metalową, którą spięta była jego koszula i która przebłykiwała wśród krwi. — Był to rzeczywiście on, jej mąż, ojciec trojga dzieci,

biedny robotnik z kamieniołomów. Rozsadzając skałę prochem, dostał całym ładunkiem w twarz. Był oślepiony, strasznie okaleczony, może śmiertelnie poraniony.

Zaniesiono go do domu. Przywołany lekarz kazał go natychmiast odwieźć do jednej z klinik paryskich pod opiekę specjalisty chorób ocznych. Po sześciu tygodniach pisał do mnie pan Desgranges: „Jakób wrócił z kliniki. Około południa wstąpię po pana, pójdziemy go odwiedzić.“

Poszliśmy. Nigdy nie zapomnę widoku, jaki się przedstawił naszym oczom, gdyśmy przybyli do chaty Jakóba. Nasz nieszczęśliwiec siedział na stołku przy wygasłym kominku. Oczy miał pokryte białą przepaską. Na ziemi spało kilkomiesięczne dziecko, obok czteroletnia dziewczynka bawiła się w popiele, druga, trochę starsza, przykucnąwszy w kącie, szlochała cicho, a naprzeciw kominka na rozwichrzonym łóżku siedziała z opuszczonymi rękoma jego żona! To, co można było wywnioskować z tego obrazu, było daleko bardziej przejmujące, niż sam jego widok. Wyczuwało się poprostu, że od kilku może już godzin ani jedno słowo nie padło w tej izbie. Kobieta siedziała beczynnienie i zdawała się nie troszczyć o nic. Cała rodzina robiła wrażenie nie ludzi nieszczęśliwych, lecz skazańców. Na odgłos naszych kroków spojrzeli ku nam bez słowa.



J. L. Trąbkiński

¹⁾ Karol Gounod (wym. Gunod), jeden z najslawniejszych kompozytorów francuskich. Jego dziełem między innymi jest słynna i przepiękna pieśń „Ave Maria“ (Zdrowaś Marjo).

²⁾ Beethoven i Mozart, dwaj sławni kompozytorzy niemieccy.

³⁾ Noisemont wym. Nuasymont.

¹⁾ Desgranges wym. Degranż.

Gounod zasiadł do fortepianu. Jakób zaś usadowił się na werandzie, trzymając swój gruby kij między kolanami. Oczy zaś jego, te biedne zgłaskie oczy zwróciły się ku niebu...

— Przyszliśmy do was zajrzeć — zaczął pan Desgranges.

— Bóg zapłać panu.

— Spotkało was wielkie nieszczęście, biedny Jakóbie!

— Tak, panie Desgranges.

Głos nieszczęśliwca był obojętny i bezdziwiczny, nie zdradzał żadnego wzruszenia, nie spodziewał się biedak znikąd niczego. Pospieszyłem zapewnić ich o pomocy, wsparciu i współczuciu ogólnem.

— Pomoc, wsparcie! — krzyknęła kobieta z rozpaczliwą determinacją. — Pewnie, że się nam słusznie należy. Muszą nam pomóc. Nie przyczyniliśmy się przecież w niczem do naszego nieszczęścia. Nie mogą chyba pozwolić na to, by dzieci moje z głodu powymierały.

Nie prosiła, nie błagała, żądała prosto. Ten nakazujący ton biedy i nieszczęścia bardziej nas przejął, niż wszystkie zwykłe w takich razach narzekania biedaków, które się tak często słyszy. Któż jednak wyrazić zdoła nasze przerażenie, gdy Jakób odpowiedział głuchym głosem: „Owszem, dzieci twoje powinny przymierać głodem, skoro ja jestem ślepy”.

Głos ludzki ma wpływ szczególny w różnych okolicznościach. Te słowa wypowiedziane głosem obojętnym, jak wyrok ostateczny, przejęły nas do głębi, mnie i pana Desgranges. Zdobyliśmy się tylko na wymamrotanie kilku niewyraźnych słów pocieszenia, potem uciekliśmy prosto zakłopotani, pozostawivszy na stoliku trochę pieniędzy. Nazajutrz orzeczenie lekarza dopełniło miary naszego zaniepokojenia. „Jest zgubiony, mówił; rany jego się zagoiły, nie ma żadnych wewnętrznych obrażeń; ogarnęło go jednak zupełne zwątpienie i ono go zabije. Właśnie silne natury ulegają takim ciosom gwałtownym. On nie tylko zwątpił o wszystkim, on jest przybity, czuje się poniżonym. Nie je, nie sypia, co pogarsza jeszcze jego stan. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby umarł w ciągu miesiąca.”

Miesiąc później Jakób był uratowany i pracował.

— Jakim cudem? — wykrzyknął Gounod.

— Przez cud miłosierdzia, najpierw...

— Jaki?

— Za-

pytaj go

lepiej-
samo, bo
oto i on.

Ujrzelśmy rzeczywiście na zakręcie drogi człowieka krępego — silnie zbudowanego, który kijem badał drogę przed sobą i przydrożne krzaki dla zabezpieczenia się.

— On idzie bez opieki — zwrócił się do mnie Gounod.

— Żona odprowadza go aż do drzwi, a czasem do ogrodu, poza tem nie potrzebuje opieki, zna swoją drogę.

Zeszedszy po pięciu stopniach z werandy, udaliśmy się na jego spotkanie.

— Jakóbie, jest tu jeden z moich przyjaciół, który chciał się z wami poznać.

— Musi to być dobry człowiek, skoro jest jednym z przyjaciół pana — odpowiedział ślepy żywo z wylaną serdecznością, która go cechowała.

— Tak, macie zupełną rację, Jakóbie, bardzo to dobry człowiek, gdyż od przeszło dwudziestu lat obsypuje dobrodziejstwami każdego, nie tylko we Francji, lecz w całej Europie, a nawet w Ameryce.

— To musi być bardzo bogaty! — zdumiewał się z prostotą ślepiec.

— Ależ nic podobnego!

— Czem więc robi tyle dobrego?

— Muzyką.

— Muzyką! — podchwycił ślepiec wzruszony.

— Ach, widzicie, to was wzięło. A więc tak, mój drogi Jakóbie, dobry Pan Bóg umieścił w głowie i sercu tego człowieka różnego rodzaju piękne pieśni, które może wypuszczać na świat Boży, kiedy zechce. Sam je śpiewa miłym głosem, a za nim nuca je miliony innych głosów. Przelatują te pieśni nad całym światem, jak ptaki niebieskie, których śpiew, gdy dotrze do ziemskiego padołu, pociesza cierpiących, a zachwyca innych.

— A ten pan tu ma takie gniazdo pełne ptaków w swojej głowie?

— Owszem, Jakóbie! A wiecie, dlaczego chciał was poznać? Chce sam coś zagrać dla was, dla was samych.

— Dla mnie! dla mnie! — radował się ślepiec.

— Tak — odpowiedział Gounod, ujmując go za rękę. —

Wejdźcie więc do pokoju i spocznijcie.

— Do pokoju? Nie, nie! moje drewniaki są zabrudzone. Jeśli

pan pozwoli, to usiądę sobie tu na dworze, na stopniach werandy i stąd będę się przysłuchiwał. Lubię tu bardzo siedzieć.

— Jak wolicie!

Gounod zasiadł do fortepianu, Jakób zaś usadowił się na werandzie, trzymając swój gruby kij między kolanami. Oczy zaś jego, te biedne zgasłe oczy zwróciły się ku niebu. Gounod grał przeszło pół godziny, przechodząc od „Fausta”¹⁾ do „Wilhelma Tella” i „Fletu zaczarowanego”, a wszystkie te melodie nieśmiertelne odbijały się na bladym obliczu ślepeca głębokim wzruszeniem i drżeniem, które kilkakrotnie w łzach spłynęło po zapadłych policzkach. Kiedy Gounod zamilkł, Jakób wstał. Gounod podszedł do niego, a ślepiec odezwał się drżącym głosem: — Dziękuję panu. Przez pół godziny nie myślałem o moim nieszczęściu.

To proste podziękowanie wzruszyło Gounoda, który odrzekł:

— Dobrze już, dobrze, Jakóbie, chcecie mi jednak dać dowód, że rzeczywiście zrobiłem wam przyjemność?

— Ależ tak! panie, niech pan mną rozporządza.

— Zróbcie i mnie wielką, bardzo wielką przyjemność.

— Jaka? jaką?

— Opowiedzcie mi, w jaki sposób i przy czyjej pomocy wyleczyliście się z rozpacy, w którą popadliście.

— Z miłą chęcią, proszę pana, gdy bowiem będę mówił o sobie, będę mówił o nim.

— O kim to?

— O panu Desgranges.

— O przyjacielu mego przyjaciela, byłym sołtysie tej wioski?

— Tak, panie; on bowiem jedynie uratował mnie.

— Udzielając wam wydatnej pomocy? Przy pomocy pieniędzy?

— O tak, wspomagał mnie hojnie pieniędzmi i u innych dla mnie zebrał! Zbiórka, z której otrzymałem trzysta franków, jego była dziełem. On urzą-

¹⁾ „Faust” tytuł opery Gounoda; „Wilhelm Tell”, tytuł opery Włocha Rossini’ego, imię i nazwisko hatero narodowego Szwajcarii. „Flet zaczarowany”, tytuł opery Mozarta.



— A po trzech dniach mieliśmy beczkę, ja zaprzęgnięty ciągnąłem, żona ztyła popychała...

dział koncert dobroczynny, którego czysty zysk czterystu franków dla mnie był przeznaczony. Ale to wszystko nic w porównaniu z resztą jego dobrodziejstw! Z piekła mnie wydarł! Wszystko było skończone! Myśl o mojem nieszczęściu przesładowała mnie nieustannie, zżerała mnie! Nie widzieć nic, być pozbawionym oczu, to mnie zabiło! Miałem się za umrzyka i chciałem za wszelką cenę zginąć, zatracić się; on wyleczył moją duszę, uzdrowił moje serce.

— Jakim sposobem?

— Dobrem słowem! Tak, proszę pana, on, taki świątły i wpływowy człowiek, przebywał przez długie trzy miesiące codziennie drogę jednej mili¹⁾ i odwiedzał mnie w mojej chacie! Siadał naprzeciw mnie i gawędził ze mną serdecznie, jak najlepszy przyjaciel, godzinę, dwie, dopóki chciałem.

— O czym to rozprawialiście?

— Trzebaby być nim, moim dobrodziejem, by móc powtórzyć, co do mnie mówił. Były to rzeczy, o których pierwej nigdy nie słyszałem... Mówił mi o dobrym Bogu w niebie lepiej niż ksiądz. On też dał mi odzyskać sen!

— Jakże to?

— Od dwóch miesięcy nie sypiałem: ledwo się zdrzemnąłem, budziłem się nagle z myślą: Jakóbie, tyś ślepy! i zaczynała mi to chodzić po głowie, jak błędne koło, a nękało, strasznie nękało! Otóż pewnego poranku zjawił się mój dobrodziej i rzekł: „Jakóbie, jak się dzisiejszej nocy znowu obudzicie i chwyci was myśl o waszem nieszczęściu, zmówcie głośno modlitwę do Boga miłosiernego, potem drugą i trzecią, a zobaczycie, że zaśniecie”. Stało się tak słowo w słowo, jak powiedział. O, on miał rozum, nielada! Dobry Bóg uspokaja, usypia, gdy się jest w biedzie i nieszczęściu.

Gounod uśmiechnął się.

Jakób ciągnął dalej:

— Co mi najbardziej dokuczało, to ciągle powracająca myśl: jesteś do niczego, bez żadnego pożytku dla swoich... jesteś prawdziwą babą w chałupie, ciebie żywią!... Na to w odpowiedzi padały na mnie jego gniewne słowa: „Czy to nie utrzymujecie i teraz waszej rodziny? Gdybyście nie stracili wzroku, czy danoby wam siedemset franków?”

— „To prawda, panie Desgranges!” — „Gdybyście nie oślepli, czy zajęłoby się wychowaniem waszych dzieci?” — „I to prawda, panie Desgranges!” — „Gdybyście nie byli ślepy, biednym kaleką, czy opiekowałiby się tak wami wszyscy?” — „Prawda, wszystko prawda, panie Desgranges!” — „Posłuchajcie, Jakóbie, dodawał jeszcze, każda rodzina ma miarę swoich trosk, swój udział w nieszczęściu. Nieszczęście chodzi po ludziach, musi, jak deszcz, popadać wszędzie i na wszystkich. Gdybyście wy nie byli oślepli, to możeby wasza żona się rozchorowała, mo-

żebyście byli stracili jedno z waszych dzieci, a tak wyście biedaku wszystko wzięli na siebie za nich wszystkich!” — „Prawda, święta prawda!” Po takim dogadywaniu już mniej nieszczęśliwym się czulem, byłem nawet trochę uszczęśliwiony, że za nich cierpie! Prosiłem więc gorąco, by dalej mówił mój pocieszyciel. „Nieszczęście, Jakóbie, przekonywał mnie, jest albo najlepszym przyjacielem, albo największym wrogiem człowieka. Są ludzie, którzy się stają źli, bardzo źli, są inni, których nieszczęście uzdrawia, ulepsza.

Wyście winni sobie zasłużyć na to, aby was wszyscy pokochali, winniście być tak wdzięczni, i



...biorę moją małą na barana i w drogę! Ona widzi za mnie, ja za nią maszeruję...

taką zaśkarbić sobie przychylności, takie uznanie, by każdy dla określenia dobrego człowieka, mówił: Dobry, jak ślepy Jakób z Noisemont. To będzie wianem dla waszej córki...” Tak do mnie przemawiał, proszę pana, i to dodawało mi otuchy, godziło mnie z losem nieszczęśliwego biedaka.

— Rozumiem; a jak go nie stało?

— Kiedy odszedł na wieczny spoczynek, miewałem złe chwile: myślałem o moich oczach... Przecież światło dzienne jest tak piękne, taki cud prawdziwy, a ja, mój Boże, nie miałem go już nigdy oglądać. Gdybym kiedyś, co daj Boże! miał znowu przewidzieć, wstałbym o trzeciej z rana i nie kładłbym się przed dziesiątą z wieczora, aby tylko wykorzystać dzień Boży! Ech, co ja tam znowu wygaduję! Zawsze i ciągle wracam do tej rozpaczliwej myśli! Oj, skrzyczałby mnie z pewnością mój dobrodziej, gdyby żył jeszcze!... bo musi pan wiedzieć, że burczał na mnie tego czasami, ale jakie to było pocieszne, kiedy w swej wielkiej dobroci nie mógł dobrać nawet słów odpowiednich.

Gounod olśniony odkryciem takiej kopalni głębokich uczuć u prostaka, chętnieby dalej pytał, ale zawahał się przez delikatność. Dałem mu znak, że może bez urazy dalej pytać.

— Jedną rzecz powiedzcie mi jeszcze, Jakóbie — podjął więc znowu rozmowę ze ślepcem. — Mój przyjaciel opowiadał mi, że pracujecie, i to aż w trzech zawodach. Kto wam nasunął tę myśl?

— Znowu on, zawsze on. Pozbywałem się smutku, ale i nuda zaczęła mi dopiekać. W trzydziestym drugim roku życia nic ino na krześle przesiadywać! Mój dobrodziej zaczął mnie więc, jak mówił, uczyć. Opowiadał mi piękne rzeczy: z Pisma świętego, dzieje starego ślepeca, jak ja, co się zwał Tobjasz, o Józefie, Dawidzie, a potem kazał mi je powtarzać... Ale to nie na mój zakuty łeb! Nie byłem przyzwyczajony do nauki. Zasnęwałem prawie, drętwiały mi ręce i nogi, niecierpliwie i złościłem się. I oto pewnego dnia przyszedł znowu i rzucił krótko: „Jakóbie, trzeba się zabrać do roboty!” Wyciągnąłem ku niemu moje ręce poparzone. „To nic, założyłem wam handel!” — „Mnie, panie Desgranges?” — „Tak, i to taki, w którym nie składa się nigdy towarów, mając je mimo to zawsze na składzie.” — „To pana pewno dużo kosztowało panie Desgranges?”

— „Ani grosza, mój biedaku.” — „Cóż to więc za składnica?” — „Rzeka.” — „Co, rzeka?” — „Czy chce pan ze mnie zrobić rybaka?” — „Nie, ale rozwoziciela wody.” — „Dobrze, rozwoziciela wody, ale co na to moje oczy?” — „Nic, odpowiedział. Gdy się je ma, można się nimi posługiwać. Gdy się ich nie ma, trzeba sobie bez nich poradzić. Zaraz wam powiem, jak to zrobimy. A więc jesteście rozwozicielem wody.” — „Ale do tego potrzeba beczki, panie Desgranges.” — „Dostaniecie ją.” — „A wózek, panie Desgranges?” — „Zamówiłem go już u stelmacha.” — „A odbiorcy, panie Desgranges?” — „Ja jestem pierwszy. Będę wam płacił 18 franków miesięcznie. (Ten najlepszy pod słońcem człowiek płacił mi za wodę jak za wino prawie.) Możecie się zgodzić lub nie. Nająłem sobie wozów. Nie chcecie chyba, abyśmy z żoną umierali z pragnienia! (Jaka ona dobra była ta pani Desgranges!) A więc za trzy dni do roboty, chłopcze. A wy, Jakubowo, chodźcie ze mną...”

Zabrał z miejsca moją kobietę ze sobą, nałożył jej skórzany półsorek, zaprzął ją; byliśmy zupełnie zahukani... Ale niechby kto spróbował opierać się, kiedy pan Desgranges przynaglał! A po trzech dniach mieliśmy beczkę, ja zaprzągnięty ciągnąłem, ona ztyłu popychała. Wstydziliśmy się, przejeżdżając przez wieś, jak gdybyśmy popełnili coś złego. Zdawało się nam, że wszyscy z nas szydzą... Ale pan Desgranges był na posterunku! Na środku drogi głośno zachęcał nas: — „Dalej, Jakóbie, naprzód, naprzód!”

Dopchaliśmy się jakoś, a wieczorem pan Desgranges wcisnął mi pieniąż do

¹⁾ Mowa o mili francuskiej, mającej przeszło 4 kilometry.

ręki, mówiąc: — „Tu jest dwadzieścia sous¹⁾, Jakóbie, któreście dzisiaj zarobili.“ Zarobione! ...niech pan pomyśli, zarobione pieniądze. Od piętnastu miesięcy już żywiliśmy się tem, co nam dobrzy ludzie dawali. Miło jest otrzymywać w biedzie jałmużnę od ludzi dobrych, daną z serca, ale chleb zarobiony daleko lepiej syci! A przedewszystkiem jedno się skończyło, nie byłem już babą nieużyteczną! byłem robotnikiem! Jakób zdobył sobie prawo do życia!

Pewnego rodzaju szczególne uniesienie biło od postaci ślepeca.

— Czy becza wystarczyła wam do zarobku na życie? — zapytał Gounod.

— Nie ona sama, panie; mam i drugi zawód.

— Drugi zawód, patrzcie!

— Ależ tak! rzeka płynie zawsze, wyjąwszy wtedy, kiedy zamarza, a jak mówił pan Desgranges, woziwoda nie robi majątku na lodzie. Dał mi więc jeden zawód na zimę, a drugi na lato.

— Zawód na zimę! Jaki?

— Jestem traczem.

— Traczem!... to niemożliwe. Jakże mierzycie długość kawałów drzewa? Skąd wiecie, gdzie piłę przystawić? Jak tniecie wreszcie drzewo bez skaleczenia się?

— Skaleczyć się, ja i skaleczyć się! proszę pana — odpowiedział ślepiec z pewną wyraźną, ale miłą dumą. — Nasamprzód byłem kiedyś deskarzem i znam się na piłę; poza tem człowiek się ciągle uczy i nauczy wszystkiego. Pan Desgranges kazał złożyć kilka sążni drzewa pod szopą. Miałem drzewo po lewej, moją piłę i mój fartuch skórzany przed sobą i kawał drzewa, który miałem porządkować na trzy części. Wziąłem kawał szpagatu i przyciąłem tyle, co trzecia część drewna; to była moja miara. Przy każdym zakładaniu piły przymierzałem ją i jakoś szło. Teraz już wszystko drzewo, co się we wsi zużywa na opał, wszystka woda pochodzi od Jakóba.

— Poza tem — przerwałem, zwracając się do Gounoda — Jakób jest jeszcze posłańcem.

— Posłańcem! To ten trzeci zawód — dziwił się coraz bardziej przyjaciel.

— Tak, proszę pana, to mój trzeci zawód — podjął Jakób. — Jeśli wypadnie posyłka do Melun²⁾, biorę moją małą córkę na barana i w drogę! Ona widzi za mnie, ja za nią maszeruję. Ci, którzy mnie spotykają po drodze, dowcipkują zwykle: „Ten człowiek ma oczy coś za wysoko osadzone“. A ja na to: „To tylko poto, aby dalej widzieć“. Wieczorem zaś znowu dwadzieścia pięć sous więcej w kasie domowej.

— Nie macie obawy urazić się o karmienie?

— Trzeba jeno nogi podnosić, a zresztą już się przyzwyczaiłem. Sam nawet trafię do Noisemont i zpowrotem.

— Zupełnie sam! A jak znajdujecie drogę?

— Stwierdzam kierunek wiatru, wychodząc z domu, to mi zastępuje światło słoneczne.

— A dziury na drodze?

— Znam je dobrze.

— A mury?

— Wyczuwam je. Gdy się zbliżam do czegoś stałego, grubego, wiatr słabiej uderza po twarzy. Nie znaczy to, bym się nie natknął czasami na twarde przedmioty, na przykład, gdy ktoś pozostawi mały wózek ręczny na drodze... ufasz sobie zbyt i bęc, już leżysz, jak długi! Taki już los ślepego. Ale co w tem wielkiego?... Dopiero przedwczoraj pobłądziłem... tak, było to... — Nie wspomnieliście mi nic o tem — zwróciłem się do Jakóba.

— Byłem w kłopotcie nielada. Podczas kiedy tutaj bawiłem, wiatr odwrócił się. Nie zauważyłem tego; puściłem się w drogę. Po kwadransie, na równinie poczułem, że zbłądziłem, nie wiedziałem w którą stronę iść, nie ważyłem się wprost ruszyć z miejsca. Pan zna dobrze równinę, pan wie, ni domu, ni człowieka. Usiadłem na ziemi, nadśluchiwałem. Po chwili usłyszałem szmer wody, płynącej w odległości mniej więcej dwustu kroków. Powiedziałem sobie: a nuż to jest strumyk, który płynie przy końcu równiny! Poomacku poszedłem za szmerem wody i doszedłem na brzeg... był to rzeczysko w ten strumyk. Potem już tak sobie wyrachowałem: Woda płynie od Seine-Port¹⁾ przez równinę, jak włożysz do niej rękę, to wyczujesz kierunek prądu i za nim pójdziesz. Tak też zrobiłem i trafiłem do domu, gdzie się już o mnie niepokojono...

— No, ale to już jest coś nad... — nie powstrzymał się Gounod.

Dałem mu szybko znak ostrzegawczy i zaciągnąłem go w drugi koniec pokoju... „Ani słowa! — szepnąłem mu na ucho jak najciszej. Niema nadzwyczajnych rzeczy. Czy chcesz przez wzbudzenie dumy pozbawić tego człowieka prostoty? Przyjrzyj mu się dobrze. Twarz jego jest niewzruszona i spokojna po opowiadaniu, które ciebie do tego stopnia przejęło. Nie docenia sam siebie, nie psuj go.

— To wszystko jest takie wzruszające! — usprawiedliwiał się przyjaciel szeptem.

— Przyznaję, nie w tem jednak należy szukać wielkości tego biedaka. Tysiące ślepców wynalazło i stworzyło sobie pomysłów środki pomocnicze dla swego kalectwa, tysiące innych znajdzie nowe, ale daleko więcej znaczy ta pełnia wartości moralnej, to bogactwo uczuć i myśli, które tu spotykamy. Jakże szybko to serce znękanе rozwarło się na oścież i dało przystęp pocieszeniu, jak gorąco zapłonęło czystym ogniem ofiarnym, jak wreszcie mocnem się okazało, że z śmierci ku życiu wywiodło tego biedaka! Mylisz się bowiem, jeśli przypuszczasz, że sam Desgranges go uratował. Nie, daleko ważniejszą przytem odegrało rolę głębokie i serdeczne przywiązanie tego biedaka do swego dobroczyńcy. Głęboko od-

czuta, bezgraniczna wdzięczność była dla niego najskuteczniejszym kordjatem... Odżył, bo pokochał.

W tej chwili Jakób w głębi pokoju dosłyszał widocznie naszą, szeptem prowadzoną rozmowę, podniósł się bowiem powolutenku z krzesła i pochyliwszy się do synka, którego żona po niego przysłała, upomniał go dyskretnie:

— Wyjdziemy stąd, ale pocichutku.

— Odchodzicie, Jakóbie?

— Przeszkadzam panom.

— Ależ nic podobnego! Nie pożegnacie się przynajmniej z panem Gounodem?

— Dowidzenia, panie Gounod! Dowidzenia, dobry panie Gounod! — począł się Jakób żegnać z serdeczną prostotą. Nagle pochylił się i, nim Gounod zdołał temu przeszkodzić, pocałował go w rękę którą mu był podał. — Gdy mnie smutek opadnie, pomyślę o panu, kochany panie Gounod! To mi doda otuchy, jak każde wspomnienie o panu Desgranges. Och! szkoda go, wielka szkoda... dopóki żył, wystarczała świadomość, że jest we wsi, abym był spokojny i szczęśliwy; kiedy wyjeżdżał, żona musiała mnie odwracać twarzą w tę stronę, abym mógł oddychać tem samem powietrzem. Żyję nadzieją, że Pan Bóg w swej dobroci za moje ciężkie cierpienia doczesne pozwoli mi spotkać się z panem Desgranges na drugim świecie w raj, dokąd go już powołał.

Temi słowy Jakób pożegnał nas, a odalając się, macał ostrożnie kijem drogę przed sobą. Myśmy po chwili powrócili do rozmowy o nim.

— No i cóż — spytałem Gounoda — czy nie mówiłem prawdy, obiecując ci, że poznasz człowieka doprawdy niezwykłego? Ta żywiołowa jego wdzięczność, to połączenie w nim prostoty z miłością duszy i serca, czyż nie są zadziwiające? Czy ten prostak nie używa niespodziewanych w jego ustach wyrażen i zwrotów dla zobrazowania swoich głębokich uczuć i myśli?

Przypominam sobie, że razu pewnego, odwiedzając go, zastałem go przy wygasłym kominku z drugim biedakiem, który podobnie, jak on, stracił wzrok przez eksplozję. „O czem rozprawiacie?“ — zapytałem. — „O słońcu, proszę pana!“ Czyby i ciebie ta odpowiedź nie zastanowiła? Za chwilę Jakób z tą zadziwiającą biegłością i swadą, która mnie zawsze przyprawia o zdumienie, wyjaśnił: „Czyż bowiem światło dzienne nie jest najlepszym darem wszechmocy i nieprzebranej dobroci Boskiej? Ludzie stwarzają cokolwiek pozory tego światła, ale do rozniecenia ognia potrzeba im zapalek i drzewa, a do oświetlenia nafty lub innego paliwa. Poza tem zresztą to nasze światło jest słabe, słabutkie i nie sięga daleko. Gdyby się podpaliło las pod Sénart¹⁾ blask ognia byłby widoczny na odległość dwóch, może i trzech mil, ale w Paryżu jużby go nie widziano zupełnie. Słońce zaś, skoro z łaski Bożej wschodzi, świeci

¹⁾ Sou (wym. su) moneta francuska, dwudziesta część franka.

²⁾ Melun wym. Melijn.

¹⁾ Seine-Port wym. Senport.

¹⁾ Wym. Senart, bardzo rozległe lasy w północnej części Francji.

Miljon dziewcząt dorasta...

(SPRAWY KOBIECE)

Czas zerwać już z tem zdaniem, że tylko „najgłupszy” zostaje na roli i czas zacząć kształcić na świadomych gospodarzy nie tylko młodych rolników ale i młode gospodynie. W Polsce, w kraju nawskroś rolniczym, mamy przeszło 3 i pół miliona gospodarstw wiejskich, około miliona dziewcząt dorasta, co roku w tych gospodarstwach paręset tysięcy wstępuje w związki małżeńskie i rozpoczyna samodzielną pracę gospodarską.

Czy wszyscy rodzice pomyśleli o tem, żeby odpowiednio wykształcić swoje córki do tego zawodu?

Napewno nie.

A przecież mamy w Polsce szkoły rolnicze dla dziewcząt. Jest ich narazie dopiero 40, w których może się pomieścić niedużo, bo zaledwie 1500 dziewcząt, ale szkoły te Państwo i społeczeństwo postawiło na dobrym, a nawet bardzo dobrym poziomie. Urządzone są bez zbytku, ale wygodnie i ładnie, a co najważniejsze, że są przystosowane do warunków drobnych gospodarstw włościańskich.

Są więc prowadzone wzorowe gospodarstwa, na których młodzież wyucza się racjonalnej hodowli, mleczarstwa, ogrodnictwa, sadownictwa i innej gospodarki rolnej.

Równocześnie szkoły rolnicze mają doskonale prowadzony dział robót ręcznych, a więc uczą kroju, haftów i szycia.

W kuchni zapoznają się uczennice nie tylko z różnego rodzaju potrawami i wypiekami, ale i przetworami owocowymi, jarzynowymi i mięsnymi, nie pomijając przytem odpowiedniego nakrycia i dekoracji stołów.

Nie sztuka jest nagotować smacznie przy wielkim nakładzie pieniędzy, ale sztuką jest nagotować tanio, smacznie i zdrowo.

Szkoły rolnicze wielką na to zwracają uwagę.

Posyłamy do szkół rolniczych nie tylko swoich synów ale i córki. Zwłaszcza, że wykształcenie to niedrogo kosztuje, bo nauka w szkołach rolniczych jest bezpłatna; płaci się tylko za utrzymanie, które też niewiele kosztuje.

Masz dać, ojczyste, swojej córce trzy tysiące posagu, daj jej tylko 2500, resztę obróć na jej wykształcenie, czyli posag, który będzie jej wyłączną własnością. Te-

go ani ogień nie spali, złodziej nie ukradnie, ni mąż nie straci.

Pieniądże wydane na wykształcenie zawsze się wracają; tak umieszczony kapitał zawsze daje procenty.

Tylko szkoły rolnicze żeńskie przysposabiają kobiety na młode samodzielne gospodynie i przodownice wsi polskiej, które przez umiejętną gospodarkę rolną przyniosą dobrobyt nie tylko wsi, ale i całemu społeczeństwu.

Nauka w takiej szkole rolniczej żeńskiej trwa tylko 11 miesięcy i zaczyna się zazwyczaj 15 listopada.

Sądźmy jednakże, że i w innym czasie nietrudno będzie córkę umieścić w takiej szkole.

Materiał powyższy wzięty jest z życia bardzo wzorowo postawionej szkoły rolniczej w Witkowie (Poznańskie).

Fotografij dokonała nauczycielka p. Zofia Królówna.

Szkołę tę najszerzym polecamy względem naszych kochanych Czytelniczek.

Z.

Zwłaszcza siwe włosy...

Właścicielka siwych włosów, chcąc by włosy jej zachowały ładny połysk i pociągaly oczy innych swym srebrzystym szronem, nie powinna szczędzić im starannej pielęgnacji.

Niech się nie lęka, że posadzona zostanie o zbytne pretensje, tak bardzo nie na miejscu u każdej kobiety, a cóż dopiero u kobiety starszej. Przesadne pretensje, a dbałość o swój wygląd zewnętrzny, to dwie rzeczy zupełnie różne. Właśnie osoby starsze, większym staraniem o swój wygląd, wynagrodzić powinny rozmaite braki, które się z latami ujawniły.

Pielęgnacja siwych włosów polega na tem głównie, aby nie dotykać ich gorącymi żelazkami, gdyż od nich żółkną. Następnie do mycia głowy nie używać mydeł zawierających sodę.

Najlepiej, zamiast tak licznie dzisiaj reklamowanych środków, myć włosy żółtkiem jaja. Żółtko rozbijamy ręką najpierw w zimnej, a potem w dobrze gorącej wodzie, którą stopniowo dolewamy, lecz w takiej tylko ilości, aby się głowę umyć dało, uważając przytem, by przez szybkie rozkłócenie żółtka wytworzyć pianę, lecz nie dopuścić do jego zwarzenia się. Po umyciu spłókać głowę jeszcze dwa razy w czystej dobrze ciepłej wodzie, poczem do ostatniej wody dodać troszeczkę farbki (modrego). Środek ten nie jest dla włosów szkodliwy, lecz daje im śliczny srebrzysty połysk. Włosów nie należy suszyć nad gorącym, gdyż ten sposób wywołuje żółknięcie siwych włosów, lecz najlepiej po wytarciu ich, nakryć głowę wełnianą czapką, przez otwory której, głowa paruje, a nie jest narażona na gwałtowne oziębienie.

Ł.

Salatka z kiszzonej kapusty

Smaczna i bardzo tania.

Dobrą białą kiszzoną kapustę osączyć z nadmiaru soku.

Przyprawić do smaku: pieprzem, cukrem i oliwą.

Jest ona bardzo zdrowa i bardzo prosta w wykonaniu.

Nasze listy i odpowiedzi

Kajtek. Bez znaczka! Polecamy szkołę Zawodowo Gospodarczą, Poznań, św. Marcin 69, lub kucharzy hotelowych.

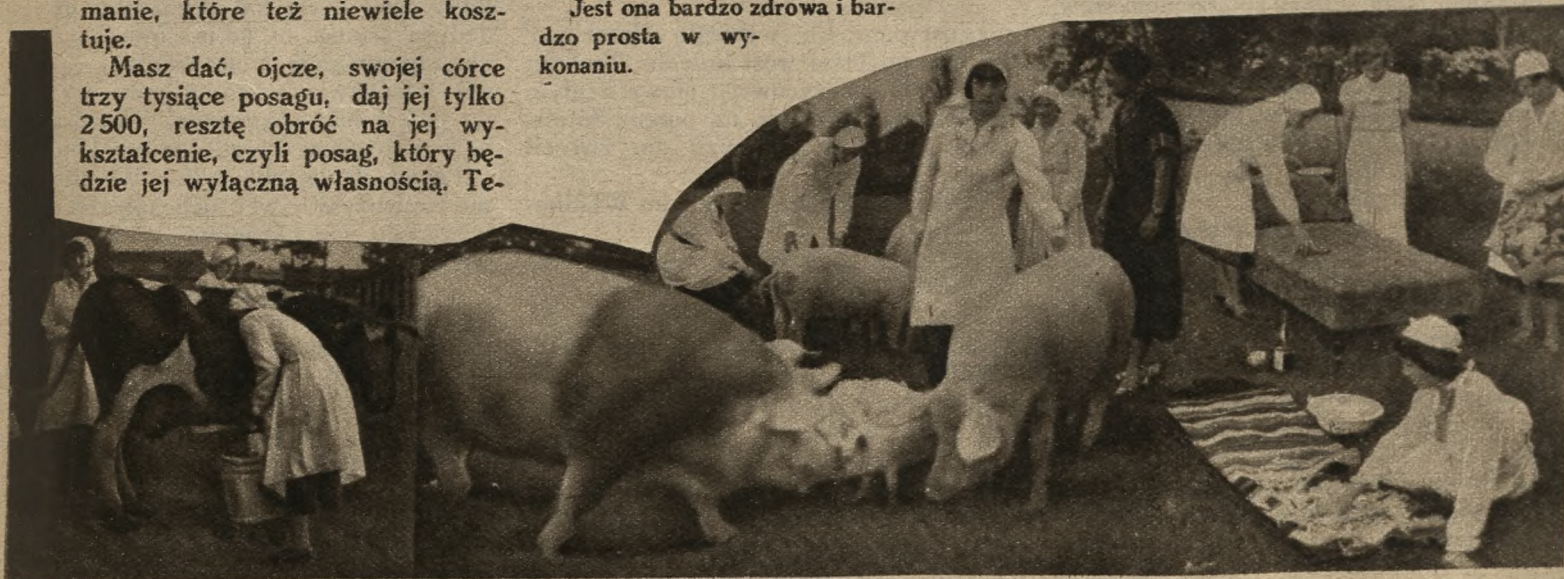
M. N. Ze współpracy narazie nie skorzystamy.

L. Jaworski, Gostynin. Uwagi słuszne. Wszyscy tak myślimy. Idzie o praktyczne wskazówki.

Tęsknota Z. K. M. Z powodu wielkiej ilości materiału nie umiścimy.

P. Wl. Brzezińska. Odpowiemy w gawędzie.

Gromniczna. Nic.



J E G O S Y N

Obszerny pokój tonął w ciemności, rozświetlał go tylko blask księżycowy, wpadający falami przez okno. W tem srebrnym świetle majaczyły ciężkie poważne kształty staroświeckich mebli, czasem na ścianie zabłysła złota rama obrazu. Stefan podprowadził panią Elę do stojącego pod oknem fotela.

W tej chwili otworzyły się drzwi i stanął w nich Władek Czarkowski, zgarbiony, ze spuszczoną głową.

— Myślę, że dobrzeby było światło zapalić — powiedział Stefan.

Popatrzył pytająco na panią Elę, a gdy skinęła głową, zadzwonił.

Wszedł służący, widocznie czatował za drzwiami.

— Trzeba lampę zapalić — powiedziała cichym głosem pani Czarkowska.

Rozbłysło światło pod różowym abażurem, lokaj zaczął spuszczać rolety, przesuwając meble, od czasu do czasu zerkał ku milczącym postaciom obecnych, ciekawość go widocznie paliła. Władek stał ciągle przy progu ze spuszczoną głową, z rękami w kieszeniach — nie drgnął nawet.

Zniecierpliwiony Stefan pochylił się ku pani Eli.

— Faites-le sortir (proszę mu kazać wyjść) — oczami wskazał lokaja.

— Odejdź — powiedziała.

Wyszedł, ociągając się. Obecni nie przerywali milczenia. Nagle Stefan na palcach podbiegł do drzwi, przez które wyszedł służący, otworzył je mocnym szarpnięciem. Stojący za nimi chłopak uciekł zmieszany.

— Możemy być spokojni, że już nie wróci — uśmiechnął się Australczyk.

Podszedł do czerniejącej w głębi pokoju nieruchomej postaci kuzyna — i podał mu wyjętą z kieszeni kopertę.

— Proszę — wymówił uprzejmym, naturalnym tonem.

Tamten nagle głowę podniósł. Ukazała się twarz zmieniona, w niczem nie przypominająca dawnego ładnego chłopca.

— Co to? — wyjąkał.

Nie dotknął podanych papierów. Mętnie zaczerwienione oczy uciekały przed blaskiem lampy, przed spojrzeniem krewnego.

— Pańskie weksle...

Władek się zatrząsł, gwałtownym ruchem wyciągnął ręce ku podawanym papierom — nagle się cofnął i zakrywając twarz dłońmi, całą postacią do ściany przygłąnął.

Po twarzy pani Eli płynęły ciężkie gorące łzy. Zdawały się z niej zmywać i troskę i rozpacz i bladeść. Wilgotne policzki nabierały rumieńców, wargi traciły wyraz bólu, w zalanych łzami oczach zaczynał przeświecać blask, taki jak przed wielu, wielu laty.

Odruchowo ręce ku Stefanowi wyciągnęła. Nie widział tego. Kopertę na stoliku przy kuzynie położył i zaczął mówić spokojnie, tonem obsoludnie rzeczowym:

— Wręczenie panu tych weksli nie było głównym celem moich dzisiejszych odwiedzin. Mam osobisty, bardzo ważny interes — powiedzmy: prośbę — której, mam nadzieję, pan nie odmówi.

Ręce Władka oderwały się od twarzy, oczy, zapełnione bezdennym zdumieniem, ku mówiącemu wybiegły.

Stefan ciągnął dalej z doskonale obójną perswazją:

— Nie wiem, czy matka panu wspominała — może nie miała jeszcze sposobności — że jestem właścicielem bardzo dużych terenów w Australji: kopalnie rudy, ogromne pastwiska, hodowla owiec na wielką skalę. Tak się składa, że trudno mi się tem osobiście zajmować... Mam tam wprawdzie doskonale zorganizowany zarząd, ludzi energicznych, zaufanych... ale główny dyrektor pisał do mnie przed paru dniami, że kogoś tam oddalił, że potrzebuje człowieka absolutnie pewnego, że nie widzi kandydata... u nas tam w Australji bardzo trudno o ludzi!

Umilkł na chwilę, poczem mówił dalej:

— Wówczas pomyślałem o panu. Cóż pan tu właściwie robisz? Nic! życie marnujesz... A tam znajdziesz pole do pracy, do wykazania energii, zdolności, do samodzielnego zrobienia majątku... warunki omówimy potem. Czuję się tylko w obowiązku panu powiedzieć, że praca będzie ciężka, bardzo ciężka... Musisz pan zaczynać od początku, przyzwyczajając się do nowych warunków...

Znowu umilkł.

— Ludzie tam są twardzi, warunki dla nieprzyzwyczajonego bardzo trudne — dokończył po chwili.

Zapanowało milczenie. Oczy Władka z coraz większym, z coraz obłędniejszym wyrazem zdumienia tkwiły w twarzy mówiącego. Z ust jego wyszedł cichy szep:

— Człowieka absolutnie pewnego... Stefan skinął głową.

— Tak. No i cóż, pojedzie pan?

Tamten milczał.

— Pojedzie pan? — w głosie Stefana pierwszy raz zadźwięczał twardy, nakazujący ton.

Władek się nagle wyprostował.

— Pojadę.

Z ust pani Eli wybiegło straszliwe, do jęku podobne westchnienie. Srebrna od światła księżycowego głowa nagłym ruchem pochyliła się na poręcz fotela. Żaden z dwóch mężczyzn nie zwrócił na nią uwagi.

Stefan odetchnął — rękę ku Władkowi wyciągnął.

— Dobrze pan robisz, ale jechać musisz zaraz, jaknajprędzej...

Tamten podanej ręki nie przyjął. Twarz jego oblał krwawy rumieniec. Odwrócił głowę — wzrok jego padł na bielejącą w półcieniu kopertę. Pochwycił ją i podał Stefanowi.

— Oddasz mi pan później... dużo później, kiedy już... — wyszeptał.

Stefan w milczeniu podany przedmiot ujął — rozległ się ostry szelest rozdzie-

ranego papieru. Podszedł do nieruchomo siedzącej pani Eli i na obciążonych czarną suknią kolanach garść białych świstków złożył. Poczem skłonił się i ku drzwiom skierował.

— Muszę iść, ciocia czeka. Może pan zechce jutro mnie odwiedzić dla ułożenia szczegółów umowy, ustalenia daty wyjazdu...

Dłoń na klamce położył — rozległ się cichy, przejmujący okrzyk pani Eli: — Stefan!

Odwrócił się. Wyciągała ku niemu ramiona ruchem pełnym błagania. Podbiegł prędko i rękę jej do ust przycisnął. Objęła go za szyję i szeptała przez łzy:

— Niech ci Bóg nagrodzi... niech ci Bóg nagrodzi...

Podarte papierki z cichutkim szmerem spadały do ich stóp.

Księżyc jasno świecił, gdy Stefan z ciotką powracali do domu. Nie mówili do siebie nic. Młody człowiek pograżony był w myślach, do głębi duszy wstrząśnięty dopiero co przebytą sceną. Panna Zofja nie śmiała zadumy jego przerywać. Noc była cudna, ciepła, pachnąca, szemrząca tysiącem tajemnicznych głosów, po ciemnej głębi firmamentu płynął księżyc. Jego wielka srebrna twarz zgóry dobrotliwie na padół ziemski patrzyła. Panna Zofja podnosiła na nią od czasu do czasu wzrok, myślała z rozrzewnieniem, że w upalne australijskie noce ten sam księżyc ongiś i bratu jej przyświecał i może mu kraj ojczyzny przypominał...

Wzruszyła ją to bardzo — zaczęła chustki do nosa szukać, gdy nagle w ciszą nocną wpadł głos Stefana:

— I teraz sam nie wiem, czym do brze zrobił, czy nie...

Ręka panny Zofji zatrzymała się w poszukiwaniach.

— Niby z czem?

— Ano, z tym wyjazdem Władka. Uważałem — i uważam — że chłopaka trzeba z kraju wyprowadzić, dać mu inne otoczenie, zmusić do ciężkiej pracy, twardych warunków bytowania... za łatwe miał życie od urodzenia, ot co! Jedyna szansa, by go uratować!... Ale... ale zapomniałem o narzeczonej — mówił frasobliwie, w zamyśleniu wywijając batem nad spasionym, błyszczącym w księżycowym świetle zadem konia.

Panna Zofja skoczyła. W alteracji nie zauważyła nawet niebezpieczeństwa, wiszącego nad okrągłymi kształtami fa-woryta.

— Czyjej narzeczonej?

— No, Władka... o pannie Cielin-skiej — głos Stefana leciutko się załamał.

— Wszystko plotki! — zakrzyczała panna Zofja — plotki tej głupiej Starreckiej!... Pytałam Halinki... Nic między nimi nie zaśzło... Owszem, konkurował, oświadczał się nawet, ale ona nie może się zdecydować...

(Ciąg dalszy nastąpi)

Z TYGODNIA: Daniny nie będzie, ale...

Nie będzie jej!

Wielkie wrazenie w kraju wywołała wieść, że daniny nie będzie. Jakiej daniny? — zapyta czytelnik. Czyż nie mamy kilkunastu podatków państwowych, a z samorządowymi kilkudziesięciu? Nie będzie daniny tej, która być miała, wszystkie inne podatki zostaną. Miała być danina szkolna pobierana od każdej izby. I przepadał! Ba! nie cieszymy się zbyt z tego, gdyż miejsce daniny szkolnej zajmą nowe podatki, oraz podwyżka starych, czyli „ogonek“ podatkowy nie skurczy się jeszcze.

Pożyczka czy podatki?

Na tem tle między niektórymi posłami z B. B. a ministrem skarbu panuje niezgoda. Posłowie wysunęli myśl, aby rząd na pokrycie niedoboru zaciągnął pożyczkę w kraju lub zagranicą. Minister sprzeciwia się temu, twierdząc, że procenty od nowych pożyczek przeszkadzają równowadze skarbu. I dlatego woli obciążyć kraj podatkami, niż się zadłużać. A ile ten niedobór wyniesie? 168 milionów od kwietnia tego roku do kwietnia następnego, ponadto zaś 70 milionów z niedoboru bieżącego, razem około 240 milionów zł. To niemało! Minister ma nadzieję, że stopniowo niedobór będzie się zmniejszał, a za 4 lata może nie będzie go wcale. Jeżeli jednak podatkami obciąży się naród, to się skurczą obroty i — zawiodą źródła podatkowe, a ile już jest zaległości! Nie pomogą więc skarbowi ani nowe podatki, ani nowe pożyczki.

Stare a dobre hasło

Trzeba się zabrać i to zaraz do oszczędności. Hasło oszczędności rzuciła już dawniej opozycja narodowa. Teraz rozszerza je część obozu rządowego. Wpływowi mężowie: były minister skarbu Matuszewski i były minister poczty Miedziński głoszą, iż bez skrajnych zmian w ubezpieczeniach i wydatkach gminnych niedobór trwać będzie dalej, jak już trwa rok piąty. Rzucono w prasie myśl, by składki ubezpieczeniowe przenieść jako podatki dla państwa i w ten sposób załatwić się raz wreszcie z niedoborem. Nikt jednak w sejmie nie wskazał, co by oraz ile można z wydatków państwa skreślić, choć to właśnie byłoby wdzięcznym zadaniem dla większości rządowej.

Też liczenie!

Główny mówca z B. B. ganił żądanie po raz wtóry już zapłaconego podatku. I przytoczył takie zdarzenie. Pewien urząd na kresach zażądał od podatnika 19 zł., dawno już uiszczonych. Gdy podatnik poprosił urząd o sprawdzenie, oświadczone przybyłemu, że mu się należy 35 zł. Kiedy podatnik chciał, by mu wystawiono kwit, iż jest w porządku, a nadpłata wynosi 35 zł., jeszcze raz zabrano się do sprawdzania i po kilku godzinach roboty powiedziano podatnikowi: „Zdaje się jednak, że właśnie to pan nam jest winien trzy złote”. — Dlatego potrzeba prócz dozoru nad urzędami skarbowymi prostych, jasnych wymiarów, tak iżby nie było nieporozumień i błędnego liczenia. Poza tem należy oszczędzać podatnika, będącego chwilowo w tarapatach, aby go zachować na przyszłość dla skarbu.

Pociecha w karnawale

Dla rolników jest jedna wieść pocieszająca, zwłaszcza dla tych, co nie tańczą

w obecnym długim karnawale: oto rząd złoży sejmowi zażeniony podatek gruntowy, który ma być sprawiedliwszy.

Znów poruszona

W rozprawach ogólnych nad budżetem prof. Rybarski podniósł znów sprawę Berezy: „My twierdzimy, że to, cośmy mówili na komisji, jest zgodne z prawdą. Zgódźcie się, panowie, że przed komisją sejmową przesłucha się tych, którzy byli w Berezie”. Tu przerwał poseł z B. B. uwagą kąśliwą: „My pana tam pošlemy, pan się dowie, co tam jest”. Urzędowej odpowiedzi na wniosek ustny posła Rybarskiego narazie nie było.

Czy niedosyć?

Łatwo wytykać błędy w polityce skarbowej i wskazywać drogę właściwą, natomiast nader trudno ocenić sprawiedliwie i trafnie politykę zagraniczną naszego rządu. Dlaczego? Bo polityka ma swoje dalekie cele i swoje konieczne tajemnice, których niesposób odsłaniać zawczasu. Po dwuletnim milczeniu minister Beck przedstawił posłom działalność polityki polskiej. Największy bodaj nacisk położył na dobre stosunki z Sowietami, w każdym razie od Sowietów zaczął.

Czyż to niedosyć dla Rosji, że zawarliśmy z nią układ o wzajemnym niemapadaniu, ważny aż do końca 1945 r.? Nie, dla bolszewików niedosyć. Oni chcą związać Polskę „paktem wschodnim”, poręczającym granice Rosji i kilku innych państw na wschodzie.

Ostrożność konieczna

Lecz na ten pakt nie godzą się stanowczo Niemcy. Czyż więc Polska ma się wiązać z Rosją na śmierć i życie wbrew Niemcom? Przecież nie Rosja graniczy z Niemcami, ale Polska i Polsce przedewszystkiem groziłby, gdyby bezwzględnie oparła się na Rosji, najazd Niemców, a szalona agitacja komunistyczna ze wschodu. A czy bez tego najazd nie grozi? Otóż pewności naród nasz nie ma. Co do rządu, to minister Beck wyraził się, że „kontakty“ (t. j. różne sposoby zbliżenia się Niemców i Polaków) działają wychowawczo „w duchu wzajemnego szacunku i pokojowego współżycia (obu) narodów“.

Gra? Byleby była szczęśliwa!

Opozycja tego zbliżenia nie gani, ale powiada, że „za dużo jest gry w polityce naszej“. A czy jej niema w posunięciach Mussoliniego lub Anglii? Świeżo bawili ministrowie francuscy w Londynie i cóż uzyskali od kolegów

angielskich? Nic. Anglja nie chce wojny z Niemcami, więc zmusza Francję, aby uznała ich zbrojenia, a za to chce zapewnić sobie ogólne (francuskie głównie!) rozbrojenie i powrót Niemców do Ligi Narodów. Oto jest gra dżentelmenów angielskich. Szczęśliwy gracz wygra. Wierzmy trochę w swoje szczęście.

Gotowe, a sejm nic

Ale, ale! co tak głucho z konstytucją? Miała być uchwalona 26 stycznia, a tu nic. Poprawki senatu są istotnie gotowe od kilku tygodni. I z przyjemnością stwierdzamy, że senat włączył z dotychczasowej konstytucji do nowej przysięgę prezydenta, którą sejm zeszłego roku opuścił. Przywrócenie przysięgi zawdzięczamy dwóm senatorom lwowianom, profesorom: Makarewiczowi i Thulliemu (obaj ze Zjednoczenia Chrześcijańsko-Społecznego). Poza tem senator Thullie wygłosił w senacie oświadczenie, że Zjednoczenie Chrześcijańsko-Społeczne zawsze dążyć będzie do wprowadzenia w Polsce szkoły wyznaniowej.

Dnia 20 lutego 1935 o godz. 12 odbędzie w Poznaniu, w sali „Belweder“ przy ul. Marsz. Focha 18 „Wielki Zjazd Rolników“.

Do naszych abonentów pocztowych Tylko do 25 b. m.

przyjmują listowi zlecenia na abonament pocztowy na miesiąc marzec b. r.

Kto nie chce się narazić na przerwę w dostarczaniu pisma, niech zgłosi się u listowego, który na żądanie przedłoży kwit pocztowy i zainkasuje prenumeratę 0,78 zł na marzec.

Abonenci otrzymujący pismo wprost z Administracji pod opaską, płacą kwartalnie zł 2.70 miesięcznie zł 0.90.

Wszystkich naszych P. T. abonentów, pobierających pismo wprost od nas w większych ilościach, uprz. prosimy o laskawe jak-najszybsze wnieście przedpłaty na I kwartał b. r., najpóźniej do końca lutego b. r.

Gdzie najwięcej jedzą ziemniaków, a gdzie najmniej? Spożycie ziemniaków „na głowę“ rocznie wynosi:



Mówią, że duże spożycie ziemniaków znamionuje kraje, gdzie ludność jest uboga, i to jest prawda co do Polski; spożycie ziemniaków w naszym kraju przewyższa dwa razy to, co zjadają Francuzi, pół osma razy tego, co zjadają Anglicy, a 13 razy jest większe od tego, co zjadają Austriacy. Same ziemniaki mają niewielką wartość odżywczą (brak białka), ale ponieważ są tanie, więc ludność uboższa przeważnie się niemi karmi.



Pan Prezydent Rzeczypospolitej na polowaniu w Puszczy Białowieskiej, urządzonem z powodu przyjazdu do Polski Ministra Niemiec Göringa. (PAT.)

Poniżej: W Hawanie, stolicy Kuby, dawano przedstawienie, w którym krytykowano Kubańczyków. Urażeni widzowie z temperamentem południowców zaczęli obrzucać scenę najrozmaitszymi przedmiotami, a aktorzy murzyńscy nie pozostali dłużni odpowiedzi. Zawrzała walka, której wynikiem była spora liczba rannych, nawet dość ciężko. (La Tribuna Ilustrata.)

Leśnicy białowiescy ciągną dzika ubitego podczas polowania, urządzonego przez pana Prezydenta Rzeczypospolitej. (PAT.)

Poniżej: Jak na północy śledzie, tak na morzu Śródziemnym pojawiają się wczesną wiosną i jesienią duże i bardzo smaczne ryby, tuńczyki. Kiedy ten czas nadchodzi, rybacy zakładają w zatokach sieci z otworami, zwróconymi ku morzu. Na brzegu zaś ustawiają wysoką strażnicę, na której dzień i noc czuwa rybak, patrząc na morze. Gdy ryby wejdą w sieci, alarmuje rybaków, którzy zaciągają otwory sieci i wydobywają ryby na ląd. (Neue Illustr. Ztg.)



Ostatnia próba

1 A może, by się z modą uzgodnić, i mój kapelusz da się umodnić?

2 Jest za wysoki! Trzeba go zniżyć. By do najnowszej mody się zbliżyć.

3 Więc wierz się wgniotło, brzegi zagięło — Z dumą spoglądam na moje dzieło!

4 Idę... Co widzę? Wytrzeszczam oczy... Zgroza! Ta jejmość w podobnym kroczy!!

5 Co?? Ja mam babską małować modę?? Miej, mój kapciuchu, dawna urodę!!

„PRZEWODNIK KATOLICKI” ILUSTROWANY TYGODNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

z bezpłatnym dodatkiem dla dzieci „MAŁY PRZEWODNIK” oraz z osobnymi działami „ROLA I OGROD” i „SPRAWY KOBIECE”.

Przedpłata kwartalna wynosi za egzemplarze osobicie odbierane w ekspedycji naszego pisma i agencjach poznańskich 1,80 zł. Za egz. wysyłane wprost z Administracji w opasce pod adresem imiennym, w ilościach od 1 do 9 egz. po 2,70 zł, od 10 do 59 egz. po 2,35 zł, od 60 egz. wwyż po 2.—zł za egz. — Dla abonentów pocztowych (bez opaski) przedpłata kwartalna wynosi 2,34 zł, miesięczna 78 groszy, dwumiesięczna 1,56 zł łącznie z kosztami manipulacyjnymi.

Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 206 684 „Przewodnik Katolicki”.

W sprawach dotyczących rękopisów i treści pisma prosimy zwracać się wyłącznie do Redakcji, w sprawach odnoszących się do przedpłaty, ekspedycji, pokrycia należności oraz ogłoszeń — wyłącznie do Administracji „Przewodnika Katolickiego” w Poznaniu, Al. Marcinkowskiego 42, nie zaś pod osobistym adresem X. Redaktora.

Redaktor odpowiedzialny: X. Franciszek Forecki w Poznaniu. — Za reklamy odpowiedzialny: Ignacy Domański w Poznaniu.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajków i t. p. wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagać się niedostarczonych numerów lub odszkodowania. Nakładem i cziokami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu — na papierze z własnej fabryki papieru „Malta”.

Telefony 26 78, 22 41, 36 13, 36 14, 31 27.